STANISŁAW ŁEMPICKI

SŁOWO O GRUNWALDZIE

DŁUGOSZ
STAROŚWIECKA PIEŚŃ
JAN Z WIŚLICY
NIEMCEWICZ
SŁOWACKI
SIENKIEWICZ

CZYTELNIK

1 9 4 5

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

60

CZY TEL NIK

SŁOWO O GRUNWALDZIE

SŁOWO O GRUNWALDZIE

DŁUGOSZ
STAROŚWIECKA PIEŚŃ
JAN Z WIŚLICY
NIEMCEWICZ
SŁOWACKI
SIENKIEWICZ

*

WYBRAŁ I OBJAŚNIŁ
STANISŁAW ŁEMPICKI

CZYTELNIK

1945

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNI

NR 14 • LIPIEC • 1945
12.000
DRUKARNIA NARODOWA
M—02609

ELNIK

SŁOWO WSTĘPNE

Uroczystość Grunwaldu, pierwszego w dziejach wspaniałego zwycięstwa Polski i ludów słowiańskich nad nienasyconym plemieniem Teutonów, była obchodzona u nas od wieków.

Święcono ją już w XV stuleciu, w latach najbliższych zwycięstwu. Bo skądżeż inaczej wzięłaby się ta poważna ilość pieśni łacińskich i polskich, opiewających „magnam stragem“ czyli „wielgie pobicie“, pieśni tak popularnych i „zaśpiewanych“ przez lud, że z wielu zachowały się tylko resztki lub początkowe wiersze? Naród rzucał w katedrze krakowskiej zdobyczne krzyżackie sztandary i uniesiony radością śpiewał.

Nie zapomniał Polak o wielkim dniu Grunwaldu i Tannenberga również w czasach następnych. Zresztą Krzyżacy, ta awangarda Niemczyzny i symbol jej zachłanności, starali się pilnie o to, aby ich dobrze pamiętano. Spadek swój przekazali z kolei brandenburskim Prusakom.

Wiemy, że i w pierwsze (1510 r.) i w drugie (1610 r.) stulecie Grunwaldu krzątano się w Polsce dokoła uczczenia wiekopomnego triumfu. Dalsze karty niniejszej książeczki powiedzą nam o tym dokładniej.

Istniała wiecznie żywa tradycja kultu grunwaldzkiego. „W Krakowie, aż do chwili rozbiorów“ — pisze K. Wł. Wójcicki — „przez 386 lat, obchodzono uroczyście co roku dzień 15 lipca, jako dzień triumfu i chwały: procesje ze wszystkich parafij krakowskich wyruszały do kościoła św. Jadwigi na Stradomiu, gdzie odprawiano uroczyste nabożeństwo dziękczynne.“

W epoce porozbiorowej święto Grunwaldu ustalało się zwolna na wszystkich ziemiach polskich, jawnie czy tajnie, i nabierało nowej aktualnej treści. Kiedy buta i megalomania narodu Bismarcka i Hakaty stawała się coraz natarczywsza, kiedy „Drang nach Osten“ parł groźnie ku ziemiom polskim i innych narodów słowiańskich, wówczas obchody grunwaldzkie były dla nas nie tylko ważną manifestacją naszego protestu, ale i pewnego rodzaju wentylem bezpieczeństwa, chroniącym nas

od samozatrucia tajoną nienawiścią do plemiennego wroga. Były w okresach politycznego bezruchu przypomnieniem naszych przewag na żywym polu orężnej rozprawy. Były przypomnieniem wspólnych wysiłków i wspólnego bohaterstwa Polaków, Litwinów i narodów wielkiej Rusi, Czechów i Morawców, którzy pod wodzą Jagiełły i Witolda dokonali grunwaldzkiego rozgromu. Stawały się wyrazem braterstwa ogólnosłowiańskiego, wskazywały sens i kierunek naszego dziejowego odwetu.

Wyrastały po miastach Polski pomniki grunwaldzkie, z sławnym krakowskim na czele. Wyprzedzały je lub towarzyszyły im monumenty inne, artystyczne i literackie, które warto by dzisiaj zinwentaryzować i ku wieczystej zapisać pamięci. „Grunwald" Jana Matejki i „Krzyżacy" Henryka Sienkiewicza — to szczytowe osiągnięcia w tej dziedzinie. Malarstwo i rzeźba, poezja, proza i muzyka szły o lepsze w upamiętnieniu wielkiego wydarzenia historycznego. A „Rota" Marii Konopnickiej była marsylianką tych czasów.

W ostatnich 6 latach przeżyliśmy my, Polacy, a zarazem i cała Słowiańszczyzna, najstraszliwszy impet germańskiej zaborczości i krzyżackiego okrucieństwa. Oszalał cały bez mała naród niemiecki od szaleju hitlerowskiej doktryny i poniósł po całej Europie i poza jej granice piekło zniszczenia, ruiny, śmierci. Kraje i narody słowiańskie stały się szczególnym obiektem nienawiści i niszczycielskiego działania. Człowieka i kulturę skazano tam na wytępienie.

Czyż trzeba zresztą powtarzać to, o czym mówi jeszcze do każdego z nas nieukojone cierpienie, niezatarta krzywda, utrata istot i wartości najdroższych? . . .

W tym sześcioleciu najokrutniejszej z wojen wspomnienie Grunwaldu nasuwało się myślom Polaka tak często, jak nigdy przedtem. A może nie tyle wspomnienie, co wizja. Czuliśmy z jakąś proroczą pewnością, że za tyle ludzkich mąk i łez ten nowy Grunwald przyjść musi, że należy to po prostu do logiki dziejów i do logiki moralnego porządku świata. Na przekór biegowi wypadków czekaliśmy na ten moment i oglądaliśmy go niemal plastycznie własnymi oczyma, w perspektywie czasu. Żyło w nas przeświadczeine, że jak wonczas, w 1410 roku, tak i teraz jakaś ogromna ciemność, jakieś niepojęte zło zawalić się musi w obliczu narodów, reprezentujących wartości wyższe, i że w dziele tym światu słowiańskiemu doniosła przypadnie rola. Nadzieje te i oczekiwania łączyły się nam dziwnie z lipcową datą Grunwaldu, z pełnią gorącego lata, jakby właśnie w tej porze miało się to zacząć czy dokonać.

Dzisiaj doczekaliśmy momentu spełnienia, momentu sprawiedliwości dziejowej. Jak ostrze gilotyny, spada kara na winowajców, dla których

nie może być przebaczenia. Rozgrywa się istotnie przed nami ogólnoświatowy dramat nowego Grunwaldu, w którym nie tylko cała Słowiańszczyzna, ale wszystkie cywilizowane narody świata podniosły karzący miecz na sądzie. Duchowi krzyżackiemu ma być wreszcie zadany cios ostateczny.

W świetle takich okoliczności pierwszy w powtórnie odrodzonej Rzeczypospolitej obchód grunwaldzki, obchód 535 rocznicy rozgromu krzyżactwa, jest świętem o szczególniejszym znaczeniu. Zakres jego ideologii rozszerza się niebywale. Dzieje się tak, jakby nagle na sprawę Grunwaldu padało nowe światło, wychodzące z kilku różnych źródlisk. „Grunwald" to już nie tylko promień jaśniejący w historycznowojennej glorii narodu naszego, ale to zarazem argument polityczny i ważne memento na najbliższą przyszłość, i drogowskaz orientacyjny w sprawie związków i przyjaźni naszych z innymi narodami, na czasy bliskie i dalekie. Należy się też spodziewać, że z brzaskiem nowej ery naszego życia państwowego i narodowego, doroczne święto 15 lipca znajdzie jak najżywszy oddźwięk w całym społeczeństwie, że stanie się świętem polskiego żołnierza, polskiego robotnika, chłopa i pracującego inteligenta, przede wszystkim zaś świętem wrastających w nieznaną przyszłość pokoleń naszej młodzieży; że obchodzone w Polsce całej, osobliwą wymowę mieć będzie na rozległych obszarach nowej Polski Zachodniej, do której pośpieszają dzisiaj ochotnie setki tysięcy rodaków na nowy siew i na nowe czuwanie .....

*

Książeczka niniejsza, którą nazwaliśmy „Słowem o Grunwaldzie", pragnie przypomnieć, w 535 rocznicę sławnego zwycięstwa, kilka głosów z przeszłości. Mają one zaświadczyć o ciągłości tradycji grunwaldzkiej w Polsce, i pokazać, jakie to pomniki rzeźbiła ona sobie w polskim słowie, w polskiej literaturze. Oto porządek utworów:

Wielki historyk XV w., Jan Długosz, opowiada z niepospolitą ekspresją o najważniejszych momentach bitwy grunwaldzkiej. Z kolei znajdzie czytelnik najudatniejszą bez wątpienia pieśń polską o Grunwaldzie, mimo średniowiecznej jeszcze formy, pełną życia i siły, a wyśpiewaną najprawdopodobniej w pierwsze stulecie wielkiej bitwy, w 1510 roku. A zaraz potem pierwsze opracowanie artystyczne grunwaldzkiego tematu: to mistrz Jan z Wiślicy, mało znany epik nasz z pierwszej połowy XVI wieku, wystąpił z swą uczoną, a jednak natchnioną lutnią; w przekładzie polskim (z łaciny) pomieszczamy jego rapsod o Grunwaldzie z poematu „O wojnie pruskiej". To wszystko epoka staropolska.

Epokę porozbiorową otwiera bard polski, Julian Ursyn Niemcewicz, śpiewający na grobie ojczyzny swą dumę o Grunwaldzie, dla podniesienia serc, pokrzepienia duchów. W okresie romantycznym Juliusz Słowacki rzuca parę potężnych akordów o grunwaldzkiej rozprawie, wyczarowując ludzi i wypadki na heroiczną miarę.

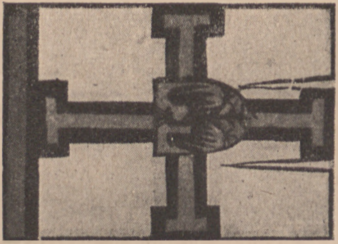
Wreszcie najpopularniejsza i najulubieńsza bitwa pod Grunwaldem z „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza, niby wspaniała panorama batalistyczna, którą się czuje wszystkimi zmysłami, której fanfary zwycięskie zna od dzieciństwa każde ucho i każde serce polskie.

Niechaj ten zbiorek rzeczy nieznanych i znanych szerokim kołom naszego społeczeństwa ożywi dzisiaj — w roku Zwycięstwa — pamięć naszą o tamtej świetnej karcie naszych dziejów i stanie się użytecznym przyczynkiem do pożądanej na przyszłość literatury obchodowej.

Kraków, w czerwcu 1945 r.

JAN DŁUGOSZ

Z „HISTORII POLSKIEJ"



Chorągiew wiel. mistrza krzyżackiego, Ulryka von Jungingen, pod którą walczyli jego najprzedniejsi dworzanie i rycerze

Na przełomie dwóch epok, średniowiecza i nowożytności, jawi się w piśmiennictwie naszym wspaniała postać Jana Długosza (1415—1480), znakomitego polskiego dziejopisarza, któremu równego nie miała cała współczesna Europa.

Dzieło Długosza, jego wielka „Historia Polski" w XII księgach, pisana w języku łacińskim, otwiera naszą narodową historiografię, zrywając z ściśle kronikarskim sposobem traktowania dziejów. Oparte o ogromny materiał źródłowy, kronikarski i dokumentarny, nacechowane poczuciem wielkości podjętego zadania, krytyczniejsze od wszystkiego, co napisano przedtem, wyczerpujące przeważnie w swym rzeczowym, pragmatycznym przedstawianiu czasów i spraw ludzkich, natchnione głębokim, czujnym, prawie starorzymskim patriotyzmem — było to dzieło Długoszowe zjawiskiem nieporównanym z żadną inną pracą historyczną aż do czasów Naruszewicza.

Autor jego miał o historii i jej zadaniach pojęcie bardzo wysokie. Twierdził, że „ze wszystkich nauk, które służą do ukształcenia umysłu, żadna nie jaśnieje tak świetnie, ani nie zaleca się taką wartością, jak historia, ... poczytana przez mędrców za matkę cnoty i mistrzynię życia". Uważał, że czytanie dzieł historycznych jest niezwykle pożyteczne dla przyszłych obywateli i rządców Rzeczypospolitej, że stamtąd czerpać można przykłady i nauki, zarówno budujące, jak i odstraszające. Przez znajomość historii, która się nierozdzielnie wiąże z państwem i polityką, młody człowiek zdobywa szybko mnóstwo wiadomości, poznaje całe stulecia i w łatwy, miły sposób zyskuje doświadczenie starców.

Do pisania „Historii" przygotowywał się nasz dziejopisarz bardzo długo, a pisał ją przez lat 25, aż do ostatnich niemal chwil swego pracowitego żywota. Zdawał sobie też później sprawę z tego, że dokonał rzeczy ogromnej, że — mimo niewątpliwych błędów i usterek — wystawił swemu narodowi pomnik wielkiej chwały. To też pracę swą

polecał przed śmiercią w rzewnych słowach całemu społeczeństwu, a Uniwersytet Jagielloński wzywał do opieki nad dziełem i do jego kontynuacji.

Długosz miał wszelkie dane do stworzenia niepospolitego dzieła historycznego. Był bowiem nie tylko człowiekiem książki i pióra, ale przede wszystkim człowiekiem czynu, działaczem. Nie to ważne w jego życiu, że jest kanonikiem krakowskim na Wawelu i ma inne godności duchowne, że zostaje w końcu arcybiskupem lwowskim, ale to, że na dworze swego protektora, kardynała Oleśnickiego (który rządził Polską przez lat wiele), a potem na dworze królewskim, wszedł w najgłębsze tajniki ówczesnej polityki polskiej, wewnętrznej i zagranicznej; i to ważne, że był wychowawcą synów królewskich; i to przede wszystkim, że był wysoce uzdolnionym dyplomatą, czynnym w wielu doniosłych misjach politycznych, we Włoszech, na Węgrzech, w Czechach, u Krzyżaków. Głośne też były współcześnie jego zdolności gospodarczo-administracyjne i znawstwo spraw ekonomicznych.

Dzieło historyczne Długosza, podobnie jak on sam, tkwi jeszcze silnie w mijającej wtedy epoce średniowiecznej. Długosz, wychowanek i jakby syn duchowy kard. Oleśnickiego, ma jeszcze średniowieczny pogląd na świat, zwłaszcza w polityce; jest wyznawcą podległości Polski wobec Rzymu i przewagi Kościoła nad monarchą i elementami świeckimi. Dlatego długo buntował się przeciw dążnościom emancypacyjnym Kazimierza Jagiellończyka, zanim ugięty pogodził się z nowymi czasami i królem. Długosz był takim, jakim uczyniło go wychowanie i okoliczności życiowe. Duch kościelno-religijny przenika jego największą pracę.

Tę „średniowieczność“ Długosza i wynikającą z niej tendencyjność powetowały atoli liczne inne zalety „Historii“, o których już po części wspomniano. Najpiękniejszą z tych zalet — to jego miłość ojczyzny, narodu, spraw polskich, która mądrze i trafnie włada jego instynktem politycznym w zagadnieniach niemałej dla państwa wagi. Pokazuje się to i w kwestii krzyżackiej, a raczej w stosunku Długosza do Niemców i do problemu zachodnich ziem polskich.

Jan Długosz nie przebolał nigdy terytorialnych strat Polski na Zachodzie. O Śląsku, o jego odzyskaniu, marzył przez całe życie, nigdy go się nie zrzekł, i tu ma źródło jego nienawiść do zaborczości niemieckiej. Tak samo nie zrezygnował nigdy wielki historyk-patriota z ziem polskich, zagarniętych przez Krzyżaków, z Pomorza i Prus.

Życie dziwnie związało go z wspomnieniami Grunwaldu. Sam urodził się w 5 lat po bitwie, ale na polach grunwaldzkich walczył jego ojciec, który ujął i przyprowadził Witoldowi dwóch wybitnych ryce-

rzy krzyżackich, Schumberga i Markwarda von Salzbach, komtura brandenburskiego, z którymi Wielki Książę litewski miał osobiste porachunki. Stryj Długosza, Bartosz, pleban kłobucki, był pod Grunwaldem kapelanem królewskim i odprawiał ową mszę przed bitwą, od której króla tak trudno było oderwać. Pod Grunwaldem bił się również jako młody rycerz i nawet życie Jagielle ocalił późniejszy protektor Długosza, kardynał Zbigniew z Oleśnicy. Miał więc nasz historyk relacje o Grunwaldzie możliwie najautentyczniejsze, niemal rodzinne, bo od ojca i stryja, a potem od najlepszego opiekuna pochodzące. Znał zresztą z pewnością i słuchał niejednego jeszcze z uczestników „wielkiej rozprawy". Mógł poznać nie tylko wszystkie jej epizody i szczegóły, ale odczuć niejako koloryt i nastrój, po prostu ducha tego dziejowego wydarzenia.

Później do sprawy krzyżacko-polskiej zbliżyło Długosza życie, jego kariera polityczno-dyplomatyczna. Król Kazimierz Jagiellończyk wysłał go w 1457 r. w poselstwie o wykupno zamków krzyżackich z rąk wojsk najemnych, a w 1459 i potem w 1464 r. brał nasz historyk udział w rokowaniach z Krzyżakami o pokój w Toruniu. Był też jednym z tych, którzy zwycięski pokój toruński w r. 1466 ostatecznie doprowadzili do końca. Poznał wtedy dobrze Krzyżaków, arkana ich polityki, ziemie i miasta, przez nich zajmowane. Odżyły w nim opowiadania o Grunwaldzie, słyszane w domu i na biskupim dworze. Zresztą i jako literata interesował go Grunwald dawniej. Przecież jeszcze w r. 1448 powstała jego praca „Banderia Pruthenorum" (Sztandary krzyżackie), w której opisał chorągwie zdobyczne, wiszące w katedrze krakowskiej od czasów Grunwaldu, a malarz krakowski, Stanisław Durink, odmalował je pięknie na pergaminie. Uczył się też Długosz prawdopodobnie już dawniej języka niemieckiego, aby poznać krzyżackie kroniki i dokumenty dla swej „Historii". Teraz, w czasie pertraktacyj z Krzyżakami, zbierał te kroniki w odpisach i przekładach łacińskich i rozczytywał się w nich dla swoich celów. Z uzbieranych w ciągu lat dokumentów XIV i XV w. urośnie przy końcu życia Długosza cenny zbiór materiałów do historii sporu polsko-krzyżackiego, pt. „Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum" (Spory i rzeczy, które się działy między Polakami a Zakonem Krzyżackim).

Nic, co dotyczyło walk polsko-krzyżackich, nie było Długoszowi obce. Żywa tradycja Grunwaldu towarzyszyła mu przez całe życie, odbijała się, jak w zwierciedle, w połysku zdobycznych, wawelskich sztandarów i w błysku owych dwóch mieczów w skarbcu królewskim, które niegdyś mistrz Ulryk posyłał w darze Jagielle i jego bratu.

Czyż można się wobec tego dziwić, że przedstawienie całej wojny 1410 roku, a przede wszystkim bitwy pod Grunwaldem, wypadło u Długosza tak świetnie i żywo, jakbyśmy własnymi oczyma oglądali rozgrywające się przed wiekami zdarzenia? Dokładność historyka idzie tu w parze z plastycznym, chwilami prawie malarskim talentem pisarza, który nie darmo zapatrzył się w opisy bitew Liwiusza, uwielbianego przez siebie historyka rzymskiego.

Powaga dziejopisa i jego skłonność do refleksyj nie tamuje jednak uczucia, które przebija się w wielu miejscach. Umiejętne traktowanie akcji głównej i wydarzeń epizodycznych, pewna indywidualizacja postaci ważniejszych, które nie robią wrażenia papierowych, ale mają jakby rumieniec życia, a nade wszystko batalistyczny talent Długosza, który umie kreślić sceny pełne ruchu, umie oddawać ruch mas i jednostek — wszystko to czyni z „Bitwy Grunwaldzkiej" także i pod względem artystycznym całość naprawdę niezwykłą. Sienkiewicz, kreśląc w „Krzyżakach" nieporównany obraz bitwy pod Grunwaldem, miał przed oczyma nie tylko tekst Długosza, ale — powiedzielibyśmy — Długoszową wizję Grunwaldu. Porównanie obu pisarzy rzuca na tę sprawę ciekawe światło i przydaje najpiękniejszy laur do sławy naszego historyka sprzed 500 lat.

*

Opowiadanie Długosza podajemy w pięknym przekładzie Karola Mecherzyńskiego, na podstawie opracowania prof. Jana Dąbrowskiego (w „Bibliotece Narodowej"), z którego uwag często korzystamy.

BITWA GRUNWALDZKA

I.

We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, piętnastego lipca, Władysław, król polski, postanowił przed świtem wysłuchać mszy świętej; ale dla silnego i gwałtownie wiejącego wiatru nie można było tak spiesznie, jak nakazano, zatknąć i rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwo; bo co rozwinięto płótna, to je wiatr zrywał. Nocy poprzedzającej spadł był ulewny deszcz z grzmotem i błyskawicami, ale nie z takim wichrem w obozie królewskim, jak w krzyżackim, gdzie burza wszystkie niemal rozniosła namioty, a co było wróżbą nastąpić mającej klęski.

Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawici nie podobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego księcia Aleksandra[1] ruszył król obozem; a uszedłszy przestrzeń dwumilową, w której widać było płonące dokoła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Tannenberga i Grunwaldu, mających się wsławić przyszłą w dniu tym bitwą, i pomiędzy gajami i gąszczami, które zewsząd to miejsce zakrywały, kazał rozbić namioty, a kaplicę obozową ponad jeziorem Lubnem na wzniosłym ustawić pagórku, aby przez ten czas, gdy wojsko rozmieszczać się miało na swoich stanowiskach, mógł wysłuchać nabożeństwa.

Już mistrz pruski, Ulryk de Jungingen, ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał swoją upamiętnić klęską, i z bliska stanął z swoim wojskiem, a czaty królewskie jeszcze go nie dostrzegły. Po rozwinięciu więc kaplicy obozowej, kiedy król spieszył do niej na nabożeństwo, przybiegł Hanek, szlachcic ziemi chełmskiej, herbu Ostoja, z oznajmieniem, że nieprzyjaciela widział już tylko o kilkanaście kroków od obozu. A gdy król zapytał, jak liczne było jego wojsko, Hanek odpowiedział, że jedną tylko

[1] tj. Witolda, który miał imię chrzestne Aleksander.

ujrzał chorągiew i natychmiast z doniesieniem o niej pospieszył. Ledwo tych słów domawiał, kiedy przybył Dersław Włostowski, szlachcic herbu Oksza, i oznajmił, że dwie widział nadchodzące chorągwie nieprzyjaciół. Jeszcze i ten mówić nie skończył, a już nadbiegł trzeci, po nim czwarty, piąty i szósty, którzy zgodnie powtarzali, że nieprzyjaciel tuż przed obozem stał w gotowości do boju.

Król Władysław, tak nagłym i niespodziewanym nadejściem nieprzyjaciela bynajmniej nie zmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzódy oddać powinność Bogu, nimby do wojny przystąpił: za czym udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkim nabożeństwem dwóch mszy, odprawionych przez Bartosza, plebana z Kłobucka, i Jarosława, proboszcza kaliskiego, swych kapelanów nadwornych, gdzie prosząc Boga o pomoc, z większą niż zwykle modlił się gorącością ducha. Upadłszy potem na kolana, zanosił do nieba modły, błagając Pana Zastępów, aby mu zdarzył pomyślną walkę i rychłe nad nieprzyjacielem zwycięstwo. A lubo wielki książę litewski, który nade wszystko niecierpliwy był zwłoki, wielokrotną prośbą i naleganiem, naprzód przez wyprawionych posłańców, a potem sam osobiście naglił króla Władysława i wołał głośno, aby zaprzestawszy modlitwy spieszył jak najprędzej do boju, gdyż nieprzyjaciel już od niejakiego czasu, sprawiwszy swoje hufce, stał w gotowości do bitwy, i wielkie groziło niebezpieczeństwo, jeśliby pierwszy na obóz polski uderzył; żadne jednak prośby i zaklęcia, a nawet samo niebezpieczeństwo, nie zdołały oderwać króla od nabożeństwa, póki go do ostatka nie skończył . . . . .

. . . Wojsko tymczasem królewskie, za sprawą Zyndrama z Maszkowic, miecznika krakowskiego, a litewskie pod wodzą wielkiego księcia Aleksandra, ustawione w porządne hufce i chorągwie, z dziwną szybkością wystąpiło w szyku i stanęło zbrojno przeciw nieprzyjacielowi: Polacy na lewym skrzydle, Litwini rozwinęli się na prawym. Wszelako w tak nagłym razie wszelki pośpiech zdawał się opóźnieniem i zwłoką.

Pięćdziesiąt chorągwi, które znakami albo proporcami zowiemy, obejmujących liczny gmin mężów znakomitych i do wojny sprawnych, a nadto czterdzieści chorągwi litewskich, powiewało w obozie rycerstwa polskiego . . . . .

Gdy Władysław, król polski, skończył do ostatka swoje modlitwy, na nalegające prośby i wołania nie tylko Aleksandra, wielkiego księcia litewskiego, ale i rycerzy swoich, którzy go do bitwy wzywali, powstał i przywdziawszy zbroję, świetnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem, gdy rycerze na nowo wołać i nalegać poczęli, aby czym prędzej wydał znak do bitwy; zdawało się bowiem, że wszystko szło

opieszale. A chociaż tak polskie, jak i litewskie wojsko, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło do boju i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w ręku, tak iż oba wojska zaledwo na rzut strzały od siebie były oddalone i już nawet pojedyncze między nimi zagrały harce — uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Rycerze polscy przyrzekli sobie święcie zwyciężyć albo zginąć. Prusacy nie mieli snać tej stałości ducha, składało się bowiem ich wojsko ze zbieraniny ludzi rozmaitego rodu i języka, rzemieślników, pachołków i ciurów, niezdatnych i nieużytecznych do wojny.

Za czym król w pełnej zbroi siadłszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, prócz niewielkiej chorągwi z wyszytym na niej białym orłem, którą przed nim niesiono, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wyniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami szeroko rozłożonym, skąd łatwy i dokładny rozlegał się widok na nieprzyjacielskie wojska.

Tam oczyma raczej, niżeli myślą, mierząc swoje i przeciwników siły, raz dobrą otuchą, drugi raz smutną karmił się w sercu wróżbą. Napatrzywszy się do woli zastępom nieprzyjaciół zjechał na równinę, wielu Polaków pasem rycerskim ozdobił, dla dodania zaś swoim serca krótką ale silną zagrzał ich przemową, przypominając każdemu rycerską powinność i cnotę; a sam z konia, tak jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź przed Mikołajem, podkanclerzym królestwa. Po czym zmieniwszy wierzchowca, przesiadł się na tęgiego i dzielnej siły wałacha, z tysiąca wybranego, który był cisawej maści, a na czole miał małą i nieznaczną łysinkę. Zawołał wreszcie, aby mu podano szyszak, który trzymając w ręku, wydał rozporządzenia Mikołajowi, podkanclerzemu królestwa polskiego, i tak jemu, jako też wszystkim kapłanom i pisarzom, tudzież czeladzi bezbronnej i do wojny niezdatnej, kazał iść do obozu, a tam czekać przybycia swego do skończenia bitwy . . . . .

Mikołaj, podkanclerzy królestwa polskiego, odebrawszy zlecenia od króla, udał się do taborów obozowych; a król brał już na głowę hełm, mając wyruszyć do boju, gdy mu z nagła doniesiono, że od wojsk krzyżackich przybyli dwaj heroldowie, z których jeden miał na swej tarczy herb króla rzymskiego, to jest orła czarnego w złotym polu, drugi zaś herb książęcia szczecińskiego, gryfa w polu białym; i że nieśli w ręku dwa gołe miecze, bez pochew, żądając stawić się przed królem, do którego ich rycerze polscy, jako straż bezpieczeństwa, przyprowadzili. Mistrz pruski Ulryk słał królowi Władysławowi te dwa miecze, wzywając go do stoczenia bitwy bez zwłoki, z przydaniem dumnych prze-

chwałek i pogróżek. Skoro ich ujrzał król Władysław, pewny, że nowe jakieś i niezwykłe (jak było rzeczywiście) przynoszą poselstwo, kazawszy przywołać Mikołaja podkanclerzego, w obecności jego i niektórych panów, którzy straż przy królu trzymali, ... heroldom mistrza dał posłuchanie.

Ci powitawszy króla jakim takim czci okazem, opowiedzieli swoje poselstwo tymi słowy, które Jan Mężyk z niemieckiego na polskie tłumaczył: „Najjaśniejszy królu! Wielki mistrz pruski Ulryk śle tobie i twojemu bratu przez nas, swoich heroldów, te dwa miecze w pomoc do zbliżającej się walki, abyś przy tej pomocy i oręża twego ludu nie tak gnuśnie i z większą, niżeli okazujesz, odwagą wystąpił do bitwy; a iżbyś się nie chował w tych gajach i zaroślach, ale na otwartym polu wyszedł walczyć. Jeżeli zaś mniemasz, że do rozwinięcia twoich hufców za szczupłe masz miejsce, ustąpi ci mistrz pruski Ulryk tego pola, które wojskiem swoim zajął, ile go zechcesz, byle cię mógł wyciągnąć do walki; albo wreszcie obierz sobie sam miejsce, na którym chcesz walczyć, abyś tylko nie odwlekał bitwy". Tak do króla mówili heroldowie. I uważano, że kiedy oni oznajmiali to poselstwo, wojsko krzyżackie wystąpiło na pole obszerniejsze,[2] aby snać czynem potwierdzić to, co przez swoich posłanników mistrz zapowiadał. Głupie zaprawdę i nieprzystojne ich Zakonowi było to poselstwo, jakby w rozumie swoim i w ręku swych mieli los i przeznaczone obu wojskom w tym dniu wypadki.

Władysław zaś, król polski, wysłuchawszy tak dumnego i pełnego zarozumiałości poselstwa, przyjął z rąk heroldów oba miecze; a bez okazania im gniewu lub jakiejkolwiek pogardy zapłakał tylko i nie radząc się nikogo, z dziwną i jakoby z nieba natchnioną pokorą i cierpliwością, odpowiedział spokojnie: „Chociaż w wojsku moim mam dostatek orężów i od nieprzyjaciół bynajmniej ich nie potrzebuję, ku większemu jednak wspomożeniu, bezpieczeństwu i obronie słusznej mojej sprawy przyjmuję w imię Boże i te dwa miecze od wrogów, łaknących krwi mojej i narodu mego, przysłane. A do tegoż Boga sprawiedliwego, pysznych karciciela, i do jego Matki Maryi Dziewicy, do patronów świętych tak moich, jak i królestwa mego, Stanisława, Wojciecha, Wacława, Floriana i Jadwigi, uciekać się będę z prośbą i modlitwą, aby na nieprzyjaciół moich tak dumnych i bezbożnych, którzy żadnymi względami słuszności, żadnym z mej strony upokorzeniem i ofiarą nie dają się ubłagać i do pokoju nakłonić, ale krew pragną rozlewać, szarpać wnętrzności i miecz tępić na karkach bliźnich, gniew swój obrócili..... Wyboru zaś miejsca i pola

[2] tj. ustąpiło miejsca wojskom Jagiełły i Witolda.



JAN MATEJKO „GRUNWALD“ (fragment)

do bitwy nie żądam, ani go sobie przywłaszczam, ale jak na chrześcijanina, człowieka i króla przystoi, Bogu samemu go zostawiam. Ten będzie plac do walki i skutek zamierzonej bitwy, jaki Opatrzność Boska i wyroki same w dniu dzisiejszym naznaczą. Tuszę, że zuchwałości Krzyżaków niebo kres wytknie i hardą ich bezbożność teraz i na przyszłość ukróci; nie wątpię bowiem, że sprawiedliwą zawsze Bóg wspiera sprawę. Tę, mówię, zuchwałą i do nieba podnoszącą się pychę nieprzyjaciół moich, na tym oto polu, kędy stoimy i gdzie się wkrótce z sobą spotkamy, Sędzia sprawiedliwy i Pan Zastępów zetrze i upokorzy....."

To rzekłszy, heroldów zlecił straży rycerza Dziwisza Marzackiego, herbu Jelita, podkanclerzemu kazał wrócić do obozu; sam zaś włożył hełm na głowę, i w imię Boga Zastępów ruszywszy do walki, kazał wytrąbić hasło i bój rozpocząć.....

II.

Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zabrzmiało głośno pieśń ojczystą *Bogarodzicę*, a potem z podniesionymi kopiami pobiegło do bitwy. Ale wojsko litewskie z rozkazu księcia Aleksandra, który niecierpliwym był zwłoki, pierwsze ruszyło na nieprzyjaciela. Już Mikołaj, podkanclerzy królestwa polskiego, opuściwszy króla, wraz z kapłanami i pisarzami szedł do obozu królewskiego, gdy go jeden z pisarzów zatrzymał, namawiając, aby chwilę poczekał i przypatrzył się spotkaniu wojsk tak potężnych; rzadki to (mówił) widok, który się już może więcej oczom nie zdarzy. Podkanclerzy, usłuchawszy jego rady, zwrócił z ciekawością wzrok na poczynającą się bitwę. W tej samej chwili obadwa wojska, z głośnym jak zwykle przed walką okrzykiem, zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy, dwakroć uderzywszy z dział, silnym natarciem na próżno usiłowali przełamać i zmieszać polskie szyki, lubo wojsko pruskie z głośniejszym krzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Było w miejscu spotkania sześć wysokich dębów, na które powyłaziło wiele ludzi, czy królewskich czy krzyżackich, nie wiadomo, a to dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół natarciu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny zaś za ich spotkaniem, z wzajemnego uderzenia kopij, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów, powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się

z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od słabszych, odważnych od niewieściuchów, wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel, zwalony z konia albo zabity, rum [3] otwierał zwycięzcy. Gdy na koniec połamano kopie, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, mieczem tylko nacierali na siebie, i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała.

Po rozpoczęciu bitwy obadwa wojska walczyły niemal przez godzinę całą z równym powodzeniem; a gdy jedno drugiemu nie ustępowało pola dzielnie dobijając się zwycięstwa, trudno było przewidzieć, na którą stronę przechyli się szala i która w końcu otrzyma górę. Krzyżacy postrzegłszy, że na lewym skrzydle, kędy było wojsko polskie, szło im twardo i walka zdawała się niebezpieczna, już bowiem przednie szyki uległy, zwrócili oręż na prawe skrzydło, składające się z Litwinów, które mniej gęste mając szyki, słabsze konie i rynsztunki, łatwiejszym zdało się do pokonania; tuszyli bowiem, że po jego odparciu silniej Polakom na kark wsiędą. Ale nie ze wszystkim powiodły im się zamiary. Gdy z Litwinami, Rusią i Tatarami zawrzała bitwa, hufce litewskie, nie mogąc wytrzymać natarcia nieprzyjaciół, chwiać się poczęły i o jedno staje [4] ustąpiły z pola. Uderzyli na nie tym śmielej Krzyżacy, a napierając coraz silniej, zmusili je w końcu do ucieczki. Na próżno Aleksander, wielki książę litewski, usiłował pierzchających zatrzymać, wołając wielkim głosem i okładając ich razami. Popłoch ten Litwinów pociągnął za sobą i znaczną część Polaków, którzy znajdowali się w ich szeregach. Nieprzyjaciel w pogoni za uciekającymi, puściwszy się o mil kilka, siekł ich i zabierał w niewolę, mniemając, że już zupełne otrzymał zwycięstwo. Taka zaś trwoga ogarnęła zbiegów, że niektórzy nie oparli się aż w Litwie, gdzie rozpuścili wieść, jakoby król Władysław i Aleksander, wielki książę litewski, polegli, a wojska ich zniesione były do szczętu. W tej bitwie sami tylko rycerze smoleńscy, stojąc mocno przy swoich trzech chorągwiach, walczyli z zaciętością i nie splamili się ucieczką, co im wielki zaszczyt zjednało. A lubo w jednej chorągwi większa część rycerstwa padła pod mieczem, a proporzec jej aż do ziemi przybito, dwie inne atoli, dzielnie walcząc, jak na rycerzy przystało, wyszły z boju zwycięsko i złączyły się potem z wojskiem polskim . . . . .

[3] miejsce (z niem.: R a u m).
[4] staje — miara odległości (około 120 kroków).

... Gdy kurzawa, w której walczący nie mogli się nawzajem rozpoznać, opadła nieco od lekkiego i nader łagodnego deszczu, co się był w tej chwili spuścił, wszczęła się między Polakami i Prusakami w wielu miejscach żwawa i zacięta bitwa. Nacierali Krzyżacy, kusząc się z zapałem o zwycięstwo, i w tej zamieszce wielka chorągiew króla polskiego Władysława z znakiem orła białego, którą niósł Marcin z Wrocimowic, chorąży krakowski, szlachcic herbu Półkozy, upadła na ziemię; ale dzielniejsi i ćwiczeni w bojach rycerze, którzy należeli do jej znaku, spostrzegłszy to natychmiast podjęli ją i, kędy należało, odnieśli. Gdyby nie tych dzielnych mężów odwaga, którzy ją piersiami swymi i orężem zasłonili, byłaby zapewnie stracona. Rycerstwo polskie chcąc zmyć z siebie tę zniewagę uderzyło z wielkim zapałem na nieprzyjaciela i wszystkie te hufce, które z nim stoczyły bitwę, poraziło na głowę, rozproszyło i zniosło.

Nadciągnęli tymczasem Krzyżacy, wracający z pogoni za Litwinami i Rusią, i wiodący do obozu Prusaków liczny gmin brańców z wielką wesołością i triumfem. Lecz postrzegłszy, że tu źle się z nimi działo, porzucali jeńców i tabory, a skoczyli czym prędzej do bitwy, aby podeprzeć swoich, którzy już słabo opierali się zwycięzcom. Za przybyciem świeżych posiłków, wzmogła się zacięta z obu stron walka. Padały stąd i zowąd gęste trupy; Krzyżacy, pomieszani w nieładzie, doznawszy wielkiej w ludziach straty i pogubiwszy wodzów, już się zdawali zabierać do ucieczki, kiedy rycerstwo czeskie[5] i niemieckie słabiejących na wielu miejscach wsparło Krzyżaków i wytrwałą odwagą podtrzymało walkę.

W czasie toczącej się z zaciętością z obu stron bitwy stał Władysław, król polski, z bliska i przypatrywał się dzielnym czynom swoich rycerzy, a położywszy zupełną ufność w Bogu, oczekiwał spokojnie ostatecznego pogromu i ucieczki nieprzyjaciół, których widział na wielu miejscach już złamanych i pierzchających. Tymczasem wystąpiło do boju szesnaście pod tyluż znakami hufców nieprzyjacielskich, świeżych i nietkniętych, które jeszcze nie doświadczały oręża; a część ich, zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie król polski stał z przyboczną tylko strażą, pędziły z wymierzonymi włóczniami, jakby prosto ku niemu.....

... Wrzał gorącą chęcią boju król Władysław i spinając konia ostrogami chciał rzucić się na najgęstsze szyki nieprzyjaciół; ledwo drużyna przybocznej straży zdołała go wstrzymać w zapędzie. Jakoż jeden z drużyny, Zoława Czech, chwycił sam konia królewskiego za wędzidło, aby

[5] zapewne Niemcy z Czech. Huf czesko-morawski walczył bowiem po stronie Polaków.

nie mógł dalej postąpić, aż król zniecierpliwiony uderzył go z lekka końcem swojej rohatyny, wołając, aby go puścił, a nie bronił mu wyruszyć do walki. Dopieroż, gdy wszyscy rycerze straży królewskiej oświadczyli, że wolą raczej na wszystko się odważyć, niźli tego dopuścić, zezwolił na ich prośby i dał się powstrzymać.

A wtem podbiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikerzicz v. Dieber, z Łużyc, złotym pasem opięty, w białej podbitej kiecce niemieckiego kroju, którą u nas jubką albo kaftanem zowią, cały okryty zbroją, towarzysz ze znaku większej chorągwi pruskiej, do owych szesnastu należącej, i rozpędzony na koniu bułanym dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla wobec całego wojska nieprzyjacielskiego, które składało szesnaście rzeczonych chorągwi, a którego oczy powszechnie na ten widok były zwrócone. Gdy więc Władysław król, podniósłszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w ręku miał jeno drzewce wpół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok onego Niemca, zwalił go z konia na ziemię. Padł struchlały, a drżącego z bojaźni król Władysław, uderzywszy włócznią w czoło, które z opadnięciem przyłbicy odsłoniło się rycerzowi, zostawił go wreszcie nietkniętym. Ale rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki odarły z zabitego odzież i zbroję .....

Wojsko krzyżackie, szesnaście owych chorągwi składające, z którego wybiegł był rycerz Kikerzicz, Miśniak,[6] i natarł na króla, raczej płochym szałem niźli odwagą uniesiony, spostrzegłszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz poczęło się cofać, na hasło jednego z Krzyżaków, dowódcy chorągwi, który siedząc na białym koniu kopią dawał znać do odwrotu i wołał po niemiecku *herum, herum!* Zwróciwszy się potem, ruszyło na prawo, kędy stała wielka chorągiew królewska, już po zadanej klęsce nieprzyjaciołom, wraz z innymi chorągwiami polskimi. Rycerze królewscy, ujrzawszy te szesnaście chorągwi i jedni poznawszy w nich nieprzyjaciół, jak rzeczywiście było, drudzy z zwyczajną ludziom słabością lepiej sobie tuszący, wziąwszy je za litewskie wojsko, a to z przyczyny lekkich i rzutnych włóczni, zwanych *sulice*, których w wojsku krzyżackim wielka była liczba, nie zaraz uderzyli na Krzyżaków; spierali się bowiem między sobą i długo byli w niepewności, aż dopiero rycerz Dobek z Oleśnicy, mający w herbie krzyż, zwany Dębno, chcąc

[6] Poprzednio go Długosz nazwał „z Łużyc". Ale Miśnia i Łużyce leżą obok siebie w Saksonii, na północ od Czech.

rozwiązać tę wątpliwość, spiął konia ostrogami i z podniesioną kopią sam jeden pobiegł ku nieprzyjacielowi.....

A tak Polacy wyprowadzeni z błędu, nie wątpiąc już o nieprzyjacielu, w kilkanaście chorągwi rzucili się na owe szesnaście znaków, do których i inne się poprzyłączały, i krwawą z nimi stoczyli bitwę. A lubo Krzyżacy przez jakiś czas wytrzymywali natarcie, w końcu jednak przeważną liczbą wojsk królewskich zewsząd otoczeni, pobici zostali na głowę. Prawie wszystko rycerstwo walczące pod owymi szesnastu znakami legło na placu lub dostało się w niewolę. Po zniesieniu zatem i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przy czym także wielki mistrz pruski Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze wszyscy i znakomitsi w wojsku pruskim panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy pierzchała ciągle w popłochu. Władysław, król polski, nierychłe wprawdzie i ciężkim okupione trudem, zupełne jednak nad mistrzem i Krzyżakami otrzymał zwycięstwo.....

III.

...Pobrano wielu rycerzy rozmaitego rodu i języka. Niemało także Prusaków, umknąwszy z bitwy, schroniło się między tabory i obozy, gdzie się bronić chcieli; tych wojska królewskie, wdarłszy się do obozów pruskich, wytępiły mieczem albo pobrały w niewolę...

Obozy wreszcie nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i dostatki, wozy i wszystek sprzęt wojenny mistrza i rycerstwa pruskiego, polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samymi dybami i okowami, które Krzyżacy z pewnością rokując sobie zwycięstwo, a nie udając się o nie do Boga, więcej przyszłym triumfem niżeli bitwą zajęci, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy, pełne łuczywa smolnego a oblanego łojem i smołą, kiścieni [7] także smołą i tłustością wysmarowanych, którymi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Za wcześnie cieszyli się zwycięstwem, z pychą zaufani w sobie, a niepomni, że zwycięstwo było w ręku samego Boga. Otóż Bóg sprawiedliwie ukarał ich dumę, bo Polacy tymi samymi więzami i okowami ich krępowali. Był to zadziwiający widok śliskości i niepewności rzeczy ludzkich owe

[7] biczów, maczug.

dyby i kajdany, które Krzyżacy sami na siebie pokuli; wozy i tabory nieprzyjacielskie, napełnione wielkimi bogactwy, a w ćwierć godziny rozerwane przez rycerzy polskich tak, iż po nich najmniejszego nie zostało śladu.

Znaleziono nadto w obozie i na podwodach krzyżackich wiele beczek wina, do którego żołnierstwo po pogromie nieprzyjaciół, znużone walką i skwarem letnim, rzuciło się było z chciwością dla ugaszenia pragnienia; jedni kołpakami, drudzy rękawicami, inni trzewikami nabierali wina i pili. Ale Władysław, król polski, obawiając się, aby wojsko, upojone winem, nie obezwładniało, przez co w razie napadu nawet najsłabszemu nieprzyjacielowi dałoby się łatwo pokonać, i żeby z zbytniego opilstwa nie powstały między wojskiem choroby, kazał wszystkie beczki porozbijać i wino wypuścić. Gdy je więc na rozkaz króla niezwłocznie wytoczono, płynęło wino strumieniami na trupy poległych, których na tym obozowisku było wielkie mnóstwo, a zmieszane z krwią pobitych ludzi i koni, wylało aż na łąki wsi Tannenberga, tworząc w gwałtownym biegu jakby strugę jednym korytem płynącą. Stąd urosła, jak mówiono, powieść bajeczna, że w owej bitwie tyle krwi rozlano, iż na kształt potoku wezbranego płynęła.

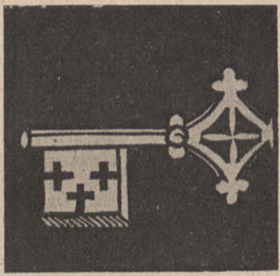
Znaleziono potem w jednym niewielkim brzozowym lesie, nieopodal od obozowiska nieprzyjacielskiego, siedem chorągwi, które uciekający Prusacy zostawili i w ziemi tylko pozatykali; te natychmiast do króla odniesiono. Henryk, komtur tucholski,[8] który był kazał przed sobą nosić dwa miecze, a od tej dumy i próżności żadnym nie dawał się odwieść namowom, gdy potem z bitwy sromotnie uciekając przypadł do wsi Wielgnowa, doścignięty od polskiej pogoni i ścięty, pychę swoją i zarozumiałość okropną, ale słuszną karą przypłacił.

W czasie trwającej zaś bitwy widzieli niektórzy ludzie pobożni i bogobojni, którzy z łaski nieba mieli to objawienie, unoszącego się na powietrzu męża poważnej postaci, w biskupim stroju, który wojsku polskiemu, pokąd walczyło i zwyciężało, ciągłym żegnaniem błogosławił. Mniemano, że to był św. Stanisław, patron Polski i głowa męczenników, i że za jego przyczyną a orędownictwem Polacy tak świetne otrzymali zwycięstwo...

[8] z Tucholi.

STAROŚWIECKA PIEŚŃ
O PRUSKIEJ PORAŻCE, KTÓRA SIĘ STAŁA ZA KRÓLA JAGIEŁŁA WŁADYSŁAWA

ROKU 1510 NAPISANA



Chorągiew krzyżacka Tomasza Moerheyma, podskarbiego Zakonu

„PIEŚŃ O PRUSKIEJ PORAŻCE", którą Piotr Chmielowski nazwał „najpiękniejszą polską pieśnią historyczną", odnaleziona została w nieznanym dzisiaj rękopisie w 1843 r. przez Leona Rzyszczewskiego i ogłoszona przez niego w tymże roku w „Bibliotece Warszawskiej" (tom III, str. 370—374). Obudziła ona z czasem zainteresowanie badaczy, a niektórzy z nich (Brückner, Windakiewicz), pod wpływem niewątpliwych zalet tej pieśni, przysądzili jej autorstwo znakomitemu pisarzowi XVI w., Łukaszowi Górnickiemu, twórcy „Dworzanina Polskiego". Bo Górnicki był nie tylko świetnym prozatorem, lecz pisał również wiersze polskie; a Jan Kochanowski poświadcza, że w lirycznej formie opiewał w jednym z swych utworów magnum certamen (wielką bitwę) pod Grunwaldem. Miał także Górnicki własną oryginalną pisownię, w której spisywał i listy swoje, i twory literackie, a wspomniani badacze uznali, że „Pieśń o pruskiej porażce" (tak jak ją ogłosił Rzyszczewski) spisana jest właśnie w ortografii Górnickiego. Wszystko zatem zdawało się przemawiać za autorstwem twórcy „Dworzanina". Na przeszkodzie stała tylko data: bo w rękopisie, który oglądał Rzyszczewski, wyraźnie było dodane: „Roku 1510 napisana". Osądzono tedy, że Rzyszczewski źle odczytał jedynkę (1) zamiast siódemki (7), a są one w XVI w. bardzo do siebie podobne. Obię wyglądają, jak siekierki. A więc data ma być: 1570 — i znowu wszystko było z Górnickim w zgodzie.

Na innym miejscu („Pamiętnik Literacki" 1937, rocznik 34) staraliśmy się wykazać, że datowanie tej pieśni na rok 1570 i łączenie jej z piórem Łukasza Górnickiego jest pozbawione jakichkolwiek głębszych podstaw. Bo ani ortografia tekstu pieśni — z wyjątkiem jednego szczegółu — nie ma nic wspólnego z ortografią Imci Pana Łukasza, bibliotekarza królewskiego, ani sam utwór nie okazuje podobieństwa do innych zachowanych wierszyków Górnickiego.

Napisał on niewątpliwie jakąś pieśń liryczną na epicki temat Grunwaldu, którą znał Kochanowski, ale to chyba nie ta sama... „Pieśń o pruskiej porażce", która jest niby średniowieczną rycerską balladą o nastroju religijno-mistycznym, nie bardzo przystaje do gustów tak wykwintnego humanisty, na wzorach klasyczno-renesansowych ukształconego, jakim był Górnicki.

Nie ma powodów, aby odrzucać dawną hipotezę o powstaniu tej pieśni w 1510 r., w pierwsze stulecie grunwaldzkiej walnej rozprawy. Jubileusz ten odbywał się wówczas w niezwykłych warunkach, przy akompaniamencie lipcowych właśnie obrad zjazdu w Poznaniu. Na zjeździe tym delegaci Polski, Zakonu, Rzeszy, cesarza i króla Węgier wertowali wiecznie jątrzącą sprawę polsko-krzyżacką, z rezultatem dla Polski niepomyślnym: rzecz miała iść na nowe, dalsze dyskusje prawno-merytoryczne, męczące i jak przedtem bezowocne. Zadrażnienie między Polakami a Krzyżakami było silne, atmosfera poważna; wszakże za kilka lat miało dojść do nowej, krwawej wojny pruskiej (1519). Otóż — zdaniem prof. Nehringa, znakomitego niegdyś naszego slawisty wrocławskiego — w tej brzemiennej powagą chwili i pełnym napięcia nastroju mogła się zrodzić nasza pieśń. Pieśń jubileuszowa i aktualna zarazem; pieśń historyczna, lecz tchnąca równocześnie żądzą odwetu. Ze stanowiska językowego nie widział prof. Nehring żadnych przeszkód, aby pieśń odnieść do 1510 r., tym bardziej, że tekst jej był z pewnością później modernizowany, zastosowywany do następnych czasów.

Autorowi niniejszych uwag udało się, na krótko przed wojną, odnaleźć nowy, bardzo ciekawy tekst pieśni „O pruskiej porażce", tekst późny, bo z początków 17-go wieku (1616 r.), ale — zdaniem naszym — poprawniejszy, autentyczniejszy, bardziej zbliżony do pierwotnego, niż tekst Rzyszczewskiego. Tekst ten znajduje się w rękopisie znanego pisarza 16—17 wieku, Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego (1565—1622), autora dziełek myśliwskich i gospodarczo-ekonomicznych, a pomieszczony tam został w związku z charakterystycznym przedsięwzięciem, które Ostrorogowi i jego przyjaciołom snuło się po głowie. Oto wobec zbliżającego się 30-lecia rządów Zygmunta III w Polsce (1586—1616) zamyślał Ostroróg o wspaniałym wydawnictwie, które miało być poświęcone uczczeniu triumfu pod Grunwaldem, jako największego, europejskiego czynu przodków Zygmunta III (po kądzieli), tj. Jagiellonów polskich. Miało to być wydawnictwo obrazowe, ikonograficzne, zawierające 3 duże sztychy, przedstawiające najważniejsze momenty bitwy grunwaldzkiej. Pod tablicami sztychów szły objaśnienia, a właściwym tekstem ilustrującym te obrazy miała być właśnie

nasza pieśń „O porażce pruskiej", nazwana tutaj „Pieśnią staroświecką o bitwie pruskiej".

Czyż byłby tak doświadczony literat, jak Ostroróg, nazwał ją „staroświecką", gdyby była pieśnią Łukasza Górnickiego, niedawno dopiero (1603 r.) zmarłego, którego Ostroróg na pewno znał przez wspólnych bliskich przyjaciół?

Wydawnictwo Ostrorogowe nie doszło do skutku z przyczyn nieznanych. Może ciężka choroba projektodawcy przyczyniła się do tego, a może artysta, u którego zamówiono sztychy, zrobił zawód i nie dotrzymał terminu? Artystą tym mógł być któryś ze znakomitych sztycharzy dworu zygmuntowskiego, jak Troschel, Soutmann, a może i sam królewski arcymalarz (i sztycharz zarazem) Tomasz Dolabella. Albo przeciwnie ktoś z zagranicy, choćby wielkiej sławy sztycharz polski, lwowianin Jan Ziarnko, przebywający głównie w Paryżu?

Tablice ze sztychami grunwaldzkimi, o ile w ogóle były wykończone, dzisiaj nie istnieją. Jedna z nich miała przedstawiać modlącego się przed bitwą Jagiełłę, którego dostojnicy na próżno starają się oderwać od nabożeństwa; druga miała wyobrażać przyjęcie przez króla pysznych posłów krzyżackich; trzecia — pojawienie się nad zwyciężającymi wojskami Jagiełły i Witolda błogosławiącej postaci św. Stanisława. W rękopisie Ostroroga zachowały się tylko podpisy objaśniające treść sztychów, dalej piękna łacińska przedmowa do króla Zygmunta III, wreszcie „Pieśń staroświecka o bitwie pruskiej".

Czyżby jednak to nieudane a tak znamienne wydawnictwo Jana Ostroroga, było istotnie związane z 30-leciem panowania króla Zygmunta Wazy w 1616 r.,? Dlaczego właśnie taki par excellence grunwaldzki charakter miałaby mieć tego rodzaju publikacja? Argumentacja Ostroroga w liście dedykacyjnym do króla nie wydaje się dość przekonywującą. Pozwalamy sobie wyrazić — może nie bez słuszności — przypuszczenie, że cała ta impreza wydawnicza przygotowywana była przez Ostroroga daleko wcześniej, mianowicie na rok 1610-ty tj. na drugie stulecie Grunwaldu. Ostroróg (potomek i imiennik sławnego polityka z XV w., Jana Ostroroga, autora „Monumentum" o naprawie Rzeczypospolitej) był Wielkopolaninem, żarliwym patriotą i wielkim wrogiem Niemców. Wydaje się wielce prawdopodobnym, że dał inicjatywę do uczczenia 200-lecia rozgromu krzyżackiego tak piękną publikacją, która równocześnie i Zygmuntowi III, potomkowi Jagiellonów, mogła hołd oddawać. Niestety rok 1610-ty, wojenny rok Polski, znaczony walkami na Wschodzie, nie sprzyjał odświętnym jubileuszom. Rzecz

poszła w odwłokę, a stała się znowu aktualną dopiero w 1616-tym roku.

W całej tej Ostrorogowej imprezie wzruszające jest to, umyślne czy przypadkowe, powiązanie 200-lecia Grunwaldu ze 100-leciem tego zwycięstwa. Więzią zaś była nasza „Staroświecka pieśń o wojnie pruskiej“, stworzona w 1510 r., a wydobyta przez Ostroroga na jaw, przejrzana, poprawiona i przeznaczona do nowej roli w 1610-tym roku.

Cóż powiemy jednak o samej pieśni? Napisana w średniowiecznym ośmiogłoskowcu (który utrzymywał się dalej w XVI w.), ujęta w czterowiersze, przemawia do nas mile swoją prostotą i zrozumiałością. Forma nie odpowiada zapewne poważnemu epickiemu tematowi krwawej wojny, nie przypomina Homerów ani Wergiliuszów; jest istotnie raczej — jak powiedział Brückner — niby „rycerską balladą“, śpiewaną do wtóru lutni przez wędrującego po zamkach i miastach średniowiecznego śpiewaka-grajka. Ale w tym właśnie leży jej urok.

Treść pieśni oparta jest ściśle o Długosza, o jego opis bitwy grunwaldzkiej i tych zdarzeń, które ją poprzedziły lub po niej nastąpiły. Wystarczy zaglądnąć do „Historii“ Długoszowej! Ale autor pieśni, chociaż tak bardzo zależny od historyka, był kompozytorem nie lada. Dał pierwszą zwrotkę własną, mocną, sugestywnie wrażającą się w pamięć: „We wtorków dzień apostolski...“ itd., a potem wybrał z „Historii“ Długosza pewne momenty najbardziej interesujące i efektowne, powiedzielibyśmy, najbardziej sensacyjne, i z nich, jako z głównego budulca, złożył swój utwór.

Nie liczy się przy tym—jak prawdziwy poeta—z datami historycznymi. Wszakże pierwszy moment, rozwinięcie chorągwi przez Jagiełłę i jego przemówienie do wojsk (raczej wzywanie Boga na świadectwo i modlitwa), a potem szloch rycerstwa, przemowy Witolda i innych, i odśpiewanie „Bogurodzicy“ (a więc zwrotki 2—13) — nie miały, wedle Długosza, miejsca pod Grunwaldem, w dniu bitwy, lecz znacznie przedtem, wkrótce po wkroczeniu w kraj nieprzyjacielski (9 lipca 1410). Autor przeniósł jednak te fakty na dzień bitwy i uczynił z nich jakby prolog swego dramatu. Drugi interesujący moment, zaczerpnięty z Długosza — to znane przybycie heroldów krzyżackich z mieczami, ich urągliwa przemowa oraz odpowiedź Jagiełły (zwrotki 19—26). Trzeci wreszcie moment to walka tocząca się dokoła króla i pojedynek Jagiełły z rycerzem von Kököritz (zwrotki 37—41). Te trzy interesujące sceny o charakterze dramatycznym połączył pieśniarz zwykłym tokiem bitewnego opowiadania Długoszowego; na koniec dał epilog, tj. wydźwięk triumfalny i wyciągnięcie morału równocześnie.

Autor pieśni nie jest artystą, ale wielkość zdarzenia dziejowego potrafiła go natchnąć i lotnym uczynić jego pióro. Długosz o przebiegu bitwy opowiada szeroko, z wielką plastyką, która tak silnie wpłynęła po wiekach na Sienkiewicza; nasz poeta umie tę narrację historyka odpowiednio skrócić, szczegóły skondensować, a jednak nie pominąć niczego ważnego. Straszliwa muzyka bitwy, łomot padających ludzi i niszczonej broni są oddane nawet z pewną siłą ekspresji (zwrotki 30—33).

Od Długosza pochodzi również religijny nastrój tej pieśni, odpowiadający zresztą dobrze epoce Grunwaldu. Stąd wyszło i pewne mistyczne tchnienie utworu: Grunwald — w ujęciu pieśni — to nie tylko starcie dwóch światów, germańskiego z słowiańskim, lecz także jakby walka dobrego ze złem, pokory z pychą, chrześcijaństwa z duchowym pogaństwem i barbarzyństwem krzyżactwa. Znamienny jest wreszcie ton elegijny w przedstawieniu klęski tak potężnych i butnych przed chwilą Krzyżaków. Autor pieśni nienawidzi wroga, nie umie też powstrzymać się od grubszych wyrażeń dających satysfakcję tej nienawiści; to różni go od Długosza, który do końca wobec wroga utrzymał się na linii patetycznego dystansu: spokoju i moralnej przewagi.

Pieśń podajemy w jednym tekście, opartym na tekście Ostroroga, z pewnymi poprawkami, zaczerpniętymi z tekstu Rzyszczewskiego (bo i ten ma niektóre miejsca lepsze). W ten sposób „Staroświecka pieśń o wojnie pruskiej", w kształcie umieszczonym tutaj będzie może najbliższa pierwotnemu tekstowi pieśni. Dwie zwrotki pieśni, 26a i 43a, są zwrotkami dodanymi później przez jakiegoś uzupełniacza; dlatego nie włączyliśmy ich w jednolite liczbowanie strof.

Utworów poetyckich w języku łacińskim i polskim, związanych z Grunwaldem, a powstałych w XV lub w początku XVI wieku, zachowało się dosyć dużo. Liczbę ich podaje się na około 50, przy czym nie wszystkie wydobyto dotąd z rękopisów i wydano. Z polskich, a może i z wszystkich (obok „Metra de lite Pruthenorum et Polonorum", tj. „Wierszów o walce prusko-polskiej" Mikołaja z Błonia) najcenniejszym jest poemacik anonimowy niżej ogłoszony. Autor jego kryje się niewątpliwie wśród zapomnianych dzisiaj poetów polskich z początków złotego wieku, może wśród tych bakałarzy — chudopachołków Uniwersytetu Jagiellońskiego, plebejskiego pochodzenia, którzy przed Bielskim i Rejem rzucali fundamenty pod literaturę w języku narodowym.

STAROŚWIECKA PIEŚŃ

I.

We wtorków dzień apostolski
Rzekł marszałek: „Królu polski,
Wielki tu jest lud nad nami,
Trzeba by był Pan Bóg z nami!“

II.

Król widząc, iż blisko było,
Aby się to dokończyło,
Nacz się Niemcy hardzie brali,
Niż polskiej mocy doznali,

III.

Chorągiew wnet kazał podać,
Chcąc swym więcej serca dodać,
A iż ją podnosi sprawnie,
Tymi słowy dał znać jawnie:

IV.

„Boże mój, Ty wiesz bez chyby,
Co pomyśli człowiek żywy,
Przed Tobą się nikt nie skryje,
Kto źle albo dobrze żyje.

V.

Ty wiesz, zawżdy żem uchodził,
Abych nikomu nie szkodził,
I ta wojna z żalem moim —
Świadczę Tobą, Bogiem swoim.

VI.

Ale że je pych unosi,
A ma składność wstyd odnosi,
W Twą nadzieję wojnę wznoszę,
A za krzywdy pomsty proszę.

VII.

Ty wiesz, Panie, moję radę,
Żem wolał pokój niż zwadę,
Pokój chociaż z ulżywieniem,
Niż wojnę z dobrym sumnieniem.

VIII.

Lecz, żeś mię na to wysadził,
Abym o twym ludu radził,
Z krwawych rąk ich racz je wyrwać,
Na pomoc z nieba zstąpić racz!

IX.

Chorągiew tę już rozciągam,
W imię Twe z wojskiem wyciągam.
Kto ma prawo między nami,
Pomóż mu swymi rękami.

X.

Wejźrzej, Panie, na krew onę,
Co polała Twoję stronę:
Ta woła sprawiedliwości,
A już nie krew, ale kości.

XI.

I ci, którzy dziś polegną,
Płaczem swym Ciebie dosięgną.
Proszę, by nie żył godziny,
Kto tej bitwie dał przyczyny."

XII.

Słysząc te królewskie słowa,
Zapłakała każda głowa.
Witułt takąż rzecz uczynił,
Kto początkiem, tego winił.

XIII.

Potem płaczu zaniechali,
Bogu — Rodzicę śpiewali,
Tusząc jutro każdy sobie
Wesołym być o tej dobie.

XIV.

Potym do króla przysłano,
O bliskim wojsku znać dano.
Król, iż się modlitwą bawił,
Nic nie czynił, aż to sprawił.

XV.

Witułt a Maszkowski dbali,
By w ten czas lud zszykowali,
A król, skończywszy modlitwy,
Na swym koniu czekał bitwy.

XVI.

Polski lud wziął lewą stronę,
Litewski prawej obronę,
Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli
Chorągiew, które widzieli.

XVII.

Na czele lud co wybrańszy,
A co dalej — to tam tańszy;
Lud ku bitwie nieprzystojny
Król w obóz odesłał z wojny.

XVIII.

A gdy poczęto trąb słuchać,
Tam każdy jął swego szukać.
Wtym dwaj posłowie przysłani
Byli od króla słuchani:

XIX.

„Mistrz pruski dał ci powiedzieć,
Że mu to tak dano wiedzieć,
Iż ci serca nie dostaje:
Dlategoć dwa miecza daje,

XX.

Abyś i te miał na pomoc.
Wnet poznasz, co niemiecka moc!
A rozdziel się nimi z bratem,
A potykać się każ zatem.

XXI.

A jeślić pola nie staje
Do szyku, otoć je daje:
Byś nie miał żadnej wymowy,
Otoć daje plac gotowy.“

XXII.

Wtym się ich wojsko cofnęło,
Nasze się dobro poczęło.
Bo był znak, że to wiedzieli,
Iż tam nazad biegać mieli.

XXIII.

Król przyjął miecze z pokorą,
A dał im odpowiedź skorą,
Która za proroctwo stała,
Bo się im pycha znać dała:

XXIV.

„W mym wojsku jest dosyć broni,
Ten pozna, kogo mój zgoni;
Wszakże i za te dziękuję,
Wygrać sobie obiecuję.

XXV.

Acz na przepych są posłane,
Ale jednak mnie są dane.
Zwyciężonym się ten czuje,
Kto komu broń ofiaruje.

XXVI.

Zna Bóg, żem ciągnął na zgodę,
I wami tego dowiodę.
Ale żeście krwie niesyci,
Da Bóg, będziecie w niej zmyci.

XXVI a.

Pan Bóg długo zwykł folgować,
Kogo chce wiecznie zepsować,
Aby cięższą znał odmianę,
Gdy nieszczęście zada ranę.“

XXVII.

Potym król swe napomniawszy,
Na prośbę ich odjachawszy,
Bo Polacy zwyczaj mają,
Iż za pana gardła dają,

XXVIII.

Rozkazał dać znak potkania.
I mało było czekania,
Bo poszły ochotnie k‘sobie
Tak wybrane czoła obie.

XXIX.

Niemcom przyszło bieżać z góry
I szli, by wyskoczyć z skóry.
Potym z boku z dział strzelono,
Nikogo nie ugodzono.

XXX.

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały,
Uszy z dala to słyszały;
By się mógł był las przełomić,
Nie mógłby ich tak ogromić.

XXXI.

Zaczęła się bitwa sroga,
Śmierć, krew, dusza tam niedroga;
A mąż się do męża kwapił,
Czym kto mógł swego załapił,

XXXII.

Tak że się we krwi mieszały
Zbroje, szable, szpady, strzały,
Miecze, kordy, tarcze, łuki,
Konie już mdłe, a z drzew sztuki.

XXXIII.

Na godzinę nie znać było,
Gdzie się zwycięstwo chyliło.
Aż Niemcy wzięli tę radę
Z prawym skrzydłem zacząć zwadę.

XXXIV.

I na Litwę się puścili,
Na pomieszane trafili.
Ci pędu strzymać nie mogli,
Pan Bóg tak chciał, że je zmogli.

XXXV.

A w ten czas Wrocimowskiemu,
Chorążemu krakowskiemu,
Chorągiew na dół zrzucona,
Ze krwią naszych zaś wzniesiona.

XXXVI.

Tam po tej przygodzie skoro
Szczęściło się naszym sporo,
Bo się Niemcy spracowali,
A Polacy docierali.

XXXVII.

Chełmieńskie wojsko zostało,
Ale i to za swe miało.
Wtym mistrz z Krzyżaki jął stronić,
Chcąc Polaków w sak nagonić.

XXXVIII.

Król stał tam blisko w obronie
I chciał bieżeć k'tej tam stronie,
Aż go ledwie utrzymali
Ci, którzy go pilnowali.

XXXIX.

A wtym jakiś rycerz zbrojny
Chciał z królem skosztować wojny,
Ale się mu nie powiodła,
Bo zarazem wypadł z siodła.

XL.

Chciał króla drzewem dojechać.
Król go też nie chciał zaniechać.
Oleśnicki weń zawadził,
Ten go mężnie z konia zsadził.

XLI.

Hełm się odkrył, został goło,
Król go wtym ugodził w czoło,
Ci, co króla pilni byli,
Ci go do końca dobili.

XLII.

A wtym i huf wszystek starto,
Którym to było natarto,
W którym był mistrz z Krzyżowniki;
Pomylono wszystkim szyki.

XLIII.

Owa wszyscy tył podali,
Co pierwej hardzie kazali,
I w obozie się nie skryli,
Jako psy Polacy bili.

XLIIIa.

Bito Niemce jako cielce,
A Niemkinie jako świnie,
A Niemczęta jako psięta,
Niejednemu głowa ścięta.

XLIV.

Pięćdziesiąt tysiąc na placu,
Co tam zostało bez płaczu,
A czterdzieści poimano,
Jako bydło trzodą gnano.

XLV.

Mistrz z kuntory wszyscy zbici,
Miecze co przynieśli i ci,
Pokora sama wygrała,
Bo u Boga miejsce miała.

XLVI.

Obóz, działa wszystkie wzięto,
Tak Niemcom pychę odjęto,
A łańcuchy zgotowane
Na ichże szyje wkładane.

XLVII.

Po tej bitwie stał się koniec,
A do Polski posłan goniec,
Iż król wygrał, a mistrz stracił,
I gardłem tego przypłacił.

XLVIII.

Tak ci Pan Bóg pychę traci,
A pokorę hojnie płaci.
Sprawiedliwość w bitwie może,
Daj tak zawżdy wygrać, Boże!

OBJAŚNIENIA

W. *1.* We wtorków dzień apostolski, — we wtorek 15 lipca 1410, w dzień Rozesłania Apostołów.
W. *7.* Nacz — na co (się Niemcy hardo porwali).
W. *8.* Niż — zanim.
W. *13.* bez chyby — niechybnie.
W. *17.* żem uchodził — żem unikał.
W. *21.* Ale że je (tj. Krzyżaków) pych (pycha) unosi.
W. *22.* składność — pojednawczość, ustępliwość.
W. *27.* z ulżywieniem — z ubliżeniem, z przykrością.
W. *38.* Twoję stronę — tj. twoich prawdziwych wyznawców.
W. *47.* takąż rzecz uczynił — wygłosił podobną mowę.
W. *57.* Maszkowski — Zyndram z Maszkowic, dowódca sił polskich.
W. *65.* tańszy — gorszy, mniej sprawny.
W. *73.* dał ci powiedzieć — kazał ci powiedzieć.
W. *81.* pola nie staje — brakuje miejsca.
W. *87--88* znaczy: wojsko krzyżackie na jakiś umówiony znak ustąpiło placu Polakom, właśnie podczas przemówienia swego posła.
W. *94.* zgoni — przegna, pobije.
W. *97.* na przepych — z pychy, na urągowisko.
W. *113.* znak potkania — hasło do bitwy.
W. *116.* czoła obie — czołowe hufce obu wojsk.
W. *123--124.* Znaczenie: Choćby cały las runął, nie mógłby ludzi tak ogłuszyć.
W. *132.* A z drzew sztuki — a drzewca (kopij) potrzaskane.
W. *133.* na godzinę — przez całą godzinę.
W. *139--140.* Znaczenie: Litwini nie mogli wytrzymać impetu Krzyżaków, to też ci chwilowo ich przemogli.
W. *149.* Chełmieńskie wojsko — wojsko krzyżackie komtura z Chełmna.
W. *151.* mistrz jął stronić — zachodzić z boku.
W. *157* i następne — epizod napadu Dypolda von Kököritz na Jagiełłę.
W. *163.* zawadził weń — uderzył na niego.
W. *174.* hardzie kazali — hardo mówili.
W. *182.* zostało bez płaczu — tj. zabitych, nieżywych.
W. *185.* z kuntory — z komturami.
W. *186* znaczy: zginęli i ci, którzy przynieśli miecze Jagielle.
W. *191.* A łańcuchy zgotowane — tj. przygotowane przez Krzyżaków dla jeńców.

J A N Z W I Ś L I C Y

Z „W O J N Y P R U S K I E J"



Chorągiew biskupstwa sambijskiego, którą wiódł Henryk hrabia na Kamieńcu w Miśnii

Jan z Wiślicy (ur. ok. 1485, † ok. 1520) — to młodo zmarły poeta łaciński i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, z grupy pierwszych humanistycznych literatów polskich w początkach XVI w. Był synem mieszczańskim, pochodzącym z Wiślicy nad Nidą. Studia odbywał w Krakowie pod głośnym wtedy mistrzem, Pawłem z Krosna, uczonym i poetą, który stworzył tutaj całą szkołę poetycką. Historia literatury wymienia Wiśliczanina w jednym rzędzie z takimi poetami współczesnymi czy nieco późniejszymi, jak Mikołaj z Hussowa (autor pięknego poematu o polowaniu na żubra), Jan Dantyszek, Andrzej Krzycki, a wreszcie najwybitniejszy z tej grupy, Klemens Janicki (Janicius), syn wielkopolskiego chłopa, pierwszy natchniony nasz poeta i niepośledni artysta przed Janem z Czarnolasu. Wszyscy oni pisali tylko po łacinie, coraz świetniej opanowując technikę łacińskiego wiersza i coraz doskonalej naśladując łacińskich poetów.

Jana z Wiślicy nazwano (prof. St. Witkowski) „najbardziej polskim z pomiędzy poetów polsko-łacińskich" owej epoki, mimo tego, że i inni opiewali w pochwalnych wierszach i poemacikach polskie wypadki współczesne i polskie osobistości. Wiśliczanin, gorący patriota, zamarzył atoli o czymś innym, zakrojonym na wyższą skalę. Wichrzyły się w nim epickie porywy, jak w poetach starożytnych i nowszych renesansowych. Rozwijał poetyckie skrzydła do lotu. Nie jest wykluczone, że myślał o dużym poemacie, poświęconym władcom polskim, a w każdym razie dynastii Jagiellonów. Chciał wyśpiewać łacińską „Jagiellonidę", na którą później porywali się i inni nasi poeci (także Kochanowski), a która żadnemu się nie udawała. Zostały z tego wielkiego przedsięwzięcia młodego poety pewne rapsody, fragmenty; złożył je później w jedną całość, w jeden poemat, pomieściwszy w centrum rapsod o bitwie grunwaldzkiej, jako największym czynie dynastii. Utwór swój zaktualizował, zbliżając współczesnego Zygmunta I do jego dziada Jagiełły, sławiąc i zwycięstwa

Zygmuntowe, chociaż tak dalekie od światowego rozgłosu grunwaldzkiej bitwy.

W ten sposób wyszła na świat w 1516 r. „Wojna pruska czyli o wojnie pruskiej ksiąg trzy, przez Jana z Wiślicy wydanych" („Bellum prutenum, sive Belli pruteni libri tres...), łaciński utwór epicko-panegiryczny, liczący tysiąc wierszy z okładem, zakrojony na miarę epopei, wzorowany i w treści, i w formie na starożytnych eposach Wergilego (Eneida) i Statiusa (Tebaida), korzystający obficie z całej aparatury i ornamentyki epickiej różnych klasycznych poetów.

Grunwald znajduje się — jak wyżej wspomniano — w centrum poematu. Jan z Wiślicy pierwszy wprowadził ten wielki temat narodowy, historyczny do poezji humanistycznej, traktując go obszernie z wielką powagą. Jest to w ogóle pierwsze artystyczne opracowanie Grunwaldu.

Co do sposobu traktowania przedmiotu, można mieć różne zastrzeżenia. Poeta nie odznacza się ścisłością historyczną, nie zna Długosza ani innych źródeł pożytecznych, to też w jego rapsodzie grunwaldzkim nie brak pomyłek lub dowolności poetyckich. Niespodziewane dla czytelników ówczesnych, przyzwyczajonych do średniowiecznych poematów, było też z pewnością wprowadzenie na dość znaczną skalę wszystkich klasycznych zwyczajów epickich, które — wedle autora — miały poematowi dodać wartości i upodobnić go do niedościgłych starożytnych wzorów. Już na początku wyjątków z „Wojny Pruskiej", które w ciągu dalszym podajemy, spotkamy żywe upostaciowanie Wieści, głoszącej wojnę, a potem Szału, Gniewu itd. W opowiadaniu samym lub w porównaniach wprowadza się bogów antycznych, jak Marsa (boga wojny), Feba; mówi się o darach Cerery, gromach Jowisza, Cyklopie itp. Jednym słowem, dla upiększenia narodowej treści posługuje się autor mitologią klasyczną. Przecież „tamten świat" chrześcijański nazywa się w poemacie Wiśliczanina „podziemiem" i „Tartarem", płyną tam mityczne rzeki Styks i Flegeton, a dusze złych ludzi dostają się w mściwe ręce Eumenid; a nawet na tym świecie, po pobojowisku krzyżackim przechadza się jedna z nich, straszliwa Tyzyfona. Z klasycznego magazynu epickiego zaczerpnięte zostały i inne rzeczy: przemowa (apostrofa) do beockich Muz, przed opisaniem ostatecznego zwycięstwa, a przede wszystkim częste, obszerne porównania, jakby uszczknięte Homerowi lub Wergilemu, a wzięte w pierwszym rzędzie ze świata przyrody (światło rozpraszające chmury — nagła burza śnieżna — zerwanie się huraganu itp.) lub ze świata myśliwskiego (osaczony jeleń — myśliwy drżący przed lwem etc.).

Ta imitacja starożytnej epopei może się komuś podobać lub nie. Porównania np. są przeważnie trafne i piękne, i przyczyniają się do podniesienia zalet utworu. Także ustęp o Wieści-posłance należy do najlepszych. Zresztą poeta stosował się do przyjętej wówczas mody literackiej.

Nikt jednak — pominąwszy tamtą technikę i ornamentację — zaprzeczyć nie może, że „Grunwald" Jana z Wiślicy, mimo pewnej ogólnikowości, nie pozbawiony jest swoistej dynamiki i malowniczości w przedstawianiu; że daje szereg udatnych obrazów i scen, plastycznych i wrażających się w pamięć, a epizody bitewne oddaje nieraz po mistrzowsku.

Całość poematu o „Wojnie Pruskiej" cierpi niewątpliwie na silną niedomogę kompozycyjną i czyni wrażenie czegoś, co się organicznie nie zrosło. Księga o Grunwaldzie, taka jaka jest, spreparowana wedle kanonu poetyki renesansowej, jest bez wątpienia najcenniejszą częścią tej niewykończonej epopei.

A pamiętajmy jeszcze o jednym. Jan z Wiślicy śpieszył się z wykończeniem i wydaniem swego poematu. Chciał uczcić nim świeże triumfy wojenne Zygmunta Starego, w którym widział swego przyszłego opiekuna. A po wtóre: nosił się już dawniej (może także od 1510 r.?) z myślą opiewania „famatissimae stragis" (przesławnej bitwy grunwaldzkiej), a teraz, w latach 1514—1516, odczuwało się znów w powietrzu zapach zbliżającej się wojny z Krzyżakami...

*

Wyjątki z poematu Jana z Wiślicy podajemy w bardzo udatnym przekładzie śp. prof. Jana Smereki, zmarłego w czasie obecnej wojny.

NA POLACH GRUNWALDU

... Wieść-posłanka szła przez polskie kraje,
Do miast, domów wpadała, do wsi, na bezdroża
I wojnę rozgłaszała, grzmiąc hen aż do morza
Z gardzieli strasznej; za nią Mars kroczył okrutnie,
Spieszył Szał i Bezprawie, Groźby, Spory, Kłótnie.
Wieść o strasznym szaleństwie Prusaków się szerzy,
Oburza króla, szlachtę, wszystek lud, żołnierzy,
Wszcząć wojnę każe, zmusza chronić własne włości
I precz zgrozę usunąć podłej nieprawości.

Gdy Wieść głośna już dała posłyszeć się wszędzie
I zbrodnię ujawniła wszystkim w lotnym pędzie,
Król zbożny i potężny, którego nikt przecie
Dzielnością nie przewyższał w niedźwiedzicy świecie,[1]
Odważnie się gotuje na wojenne trudy
I pod broń wzywa wszystkie swe waleczne ludy,
Nad którymi panował w sarmackiej krainie,
Znanej z bitnych żołnierzy w marsowej przyczynie;[2]
I szczepy groźne ściąga, którym Grom[3] zwycięski,
Osławiony przez mnogie dawniej wroga klęski,
Brat Witold przewodniczył, tym przydomkiem zwany:
Ludy uprawiające Litwy sławnej łany,
Bogatej i w jeziora, i w puszcze rozgłośne;
Rusinów uzbrojonych w łuki śmiercionośne,
Tatarów, co na rączych koniach mkną nawałą
I szyki przełamują walką włóczni śmiałą,
I groźnych Massagetów,[4] których nędzne ciała,
Duch zaś mężny okrutnej walki żądzą pała.
Te hufce król wraz z bratem gromadzi do boju,
Inne zliczyć wiele by wymagało znoju.

Lecz w sercu wzniosłym króla najpiękniejsza cnota,
Dobroć i chęć pokoju i szlachetność złota
Jaśniała i tak wielka łagodności siła
Nad pruską zuchwałością, iż — jak Feb[5] wysyła
O świcie w dal promienie i wiatry północy,
Chmury deszczu rozprasza, światłu dając mocy —
Tak duch wyniosły króla dobroci blaskami
Wzbił się ponad szał mężów, zalśnił nad losami,
Nad grozą niestałego przeznaczenia wiewu,
I żal mu się zrobiło ludzkiej krwi rozlewu.
Wysyła posłów do nich, by od wojny szczerze
Wstrzymać się chcieli, oraz zawarli przymierze,
Ludom wiernej przyjaźni dochować gotowi.
Krzyżacy odmawiają i na znak królowi
Ślą w miejsce gromu Marsa dwa miecze krwią rdzawe
I butne polecenia na przyszłą rozprawę
W okrutnych słowach; a król zgadza się bez lęku
I na bój chętnych wzywa...

Była pora gorąca i lipca upały
Na role dar Cerery[6] wywiodły dojrzały,
Piękne dzieło dla żeńców zgiętych i wieśniaków.
Wówczas Mars groźny stanął na polach Prusaków;
Wstrząsnął bronią, obrócił puklerz w obie strony,
Obwieścił Prusom, Polsce wojnę i jej plony
Okrutne zapowiedział: zgonów, nieszczęść wiele
Ludom, które żądały oręża zbyt śmiele.
Tymczasem Gniew się srożył, Śmierć z podziemia wstała
I spiżem zawładnąwszy, przez niwy leciała,
Znacząc wężem skrwawionym trupy, których cienie
Wpaść miały w bagna Styksu[7] i Nocy przestrzenie.

A na błoniach rozległych już się zgromadziły
Niezliczone szeregi i pancerne siły.
Zaroiły się Prusy od wojsk, a oręża
Szczęk straszny wzniecał Marsa szał, dzikiego męża,
Niepomny drogich dziatek, małżeństwa świętego.
Wzrastał Gniew bladolicy i z serca każdego
Wypędzał myśl o kraju: znikł zagon spokojny
I dom sprzed oczu wszystkich; w bój słał lud Duch wojny.

Już z obu stron zastępy ściągają pomału,
Wodzowie im przed walką dodają zapału...
Wtem na rozkaz Witołda mknie tatarska tłuszcza,
Chwyta łuki z kołczanów, pędem konie puszcza
I straszny okrzyk wznosząc, gwałtownym napadem
Razi wrogów zastępy strzał śmiertelnych gradem.
Podobnie gdy Wszechmocny chmurom wodze puści
I w krąg świata ugodzi z burzliwych czeluści,
A śnieżyca północna szalejąc na dole,
Niszczy łąki kwitnące, zasiewy i role —
Tak błyszczące w dal zbroją Prusaków oddziały
Rażone z rąk tatarskich strzałami padały.
Dalej w innym szeregu kroczą wprzód Rusini
Zawzięci, w ślad z włóczniami waleczni Litwini
Z rwącymi się ochoczo w bój Massagetami
Spieszą i w hufce wroga dzielnymi piersiami
Wdzierają się...

Wre walka, podwajają ciosy,
W okropnej rzezi rąbią, śląc na śmierć ciał stosy;
Zewsząd walą się szyki, krew się leje wszędzie,
Ci giną od pocisków, tych świszcząc zdobędzie
Włócznia i trupem kładzie, rwąc w Tartaru[8] mroki;
Lecą głazy, mkną strzały, jak deszcz przez obłoki.
Od grotów śmiercionośnych czarnieje przestworze,
Bo ziemia tej nawały pomieścić nie może.
Wszelka broń rani groźnie, grzmi w dal Mars ponury
Strasznie, jak władca Jowisz poprzez czarne chmury,
Lub ciemnych drzew wierzchołki i borów gęstwiny.[9]

Lecz los srogi, co ręką, jak mówią, jedyny
Obraca koło nieszczęść i bieg wieków zmienia,
Wszystkim według swej woli rządząc i skinienia,
Opuszcza wnet Rusinów, tłum Tatarów dziki
I Litwinów, Witołdzie, potem inne szyki
Twego ludu licznego, wreszcie rzuca ciebie —
A patrząc na Germanów przyjaźnie w potrzebie,
Wspomaga ich, dla innych groźny i niestały.
Zwyciężają Prusacy i mistrza oddziały,
Krzyż [10] głosi triumf sławy, a radość Teutona

W żelazo zakutego rośnie niezmierzona.
Przerażenie, Witołdzie, pada na twe roty,
Strach chwyta jezdnych, pieszych, a hańba sromoty
Plugawi wszystkich mężów, boju wynik zmienia
I w ucieczce zniewala szukać ocalenia.
Popłoch pędzi rycerzy z odwróconą twarzą
W pełnym biegu...

Gdy książę spostrzegł, że się ważą
Losy walki, że wojska jego ustąpiły
Znękane z pola, pędzi, co mu starczy siły,
Jak wichr, w stronę obozu, zjawia się przed królem
I tak przemawia z ostrym wyrzutem i bólem:
„Bracie, czyli nie widzisz jak Prusak zwycięski
Zmusza nas do ucieczki i haniebnej klęski,
Czy cię tętent złowrogi i zgiełk nie przeraża,
Gdy w chwili groźnej dla nas pilnujesz ołtarza?
Porzuć święte obrzędy, daj pokój ofierze!
Nie godzi się rozrywki szukać w świętej wierze;
Nie ma miejsca na prośby, wstań i każ — czas pili —
By natychmiast Polacy na wroga ruszyli".

A król, słysząc te słowa, rozmodlonej twarzy
Nie odwraca, bo przerwać próśb się nie odważy,
Lecz wkrótce odpowiada: „Bracie miłościwy,
Porzuć, proszę, gniew srogi, jeśliś mi życzliwy,
Pozwól zażyć pokoju, bo to chwila błoga
Dla mnie, i nie zakłócaj przeświętej czci Boga.
Gdy się Jego ofiara spełni całkowicie
I kapłan ją zakończy, wtedy na użycie
Mych zastępów pozwolę i każę Polakom
Wyruszyć w bój, sam także pomogę twym znakom.
Teraz zbierz niedobitki, chroń obozu strony
I bacz, by się nie wdarły przebojem Teutony".

Witołd spełnia rozkazy, rzuca się na wroga,
A król zbożny i prawy podnosi do Boga
Ręce i z łzami prosi kornie wśród słów wielu:
„Stwórco ludzi, aniołów, nieba Stworzycielu,
Ty, co rządzisz pogodnie wszelakim istnieniem,

Co morza, góry, rzeki i lasy zrządzeniem
Swym świętym poprzez wszystkie wieki zachowujesz,
Grozę tłumu łagodzisz, rozlew krwi hamujesz,
Mężom w boju dostarczasz wyborowej siły,
Otuchy zaś tym, których losy opuściły,
Co wstrzymujesz Fortuny srogiej groźne tchnienia
I wszystkim rządzisz według Twej woli skinienia —
Spójrz łagodnie na króla, błagam kornie Ciebie,
Zlituj się nad Twym ludem, nade mną w potrzebie,
Użycz ducha śmiałego, dzielnych serc mej młodzi
W walce przeciwko wrogich szeregów powodzi,
Prowadź chwiejne zastępy przez zwycięstwa szlaki
I dzierż nam nasze orły, chorągwie i znaki
Przeciw groźnym oddziałom, Germanów tłumowi".

Wtem się postać świetlana zjawiła królowi
Świętego Stanisława na niebios sklepieniu,
Wśród roju gwiazd błyszczących, w słonecznym promieniu,
By go w smutku pocieszyć. I biskup łaskawie
Te słowa ukojenia śle w nieszczęsnej sprawie:
„Nad łez gorzkich zlitował się Ojciec potokiem
I na prośby życzliwym spojrzał z niebios okiem;
Dziś On ciebie pocieszy i szczęście odmieni
Twym szeregom, bo padną w walce zwyciężeni
Zwycięzcy twego brata; dziś wrogie sztandary
Porwiesz w bitwie przemocą i te święte dary
Zawiesisz u kopuły w mym świętym kościele;[11]
Dziś weźmiesz tarcz królewskich, zbroic książąt wiele
I utwierdzisz na moim pomniku przy grobie;
Dziś, królu, na skroń włożysz wawrzyn ku ozdobie,
Odniesiesz triumf sławy, a rozgłos daleki
Przez świat pójdzie i blaski roznieci na wieki.
Dłużej nie zwlekaj, powstań, powstrzymaj łzy smutne,
Wezwij mężów do broni i boje okrutne
Zaczynaj; niech dowódcy wprzód ruszają zatem.
Sam twój zastęp powiodę, wiernym ci Achatem[12]
Będę w bitwie i wszędzie ochronię twą głowę".
Tak wyrzekł z ust różanych i zakończył mowę.

Królowi święte słowa pociechy dodały.
Natychmiast wzywa karne Polaków oddziały,

Aby w szyku stanęły; sam na rączym koniu
Z mieczem w ręku przebiega wzdłuż wojska po błoniu
I zagrzewa serdecznie: „Wszczyna się rozprawa...
Jeśliby z was niektórym sromotna obawa
Wstrząsnęła serca, hańbiąc zacnej krwi zaszczyty,
Lub męstwo niweczyła, plamiąc znakomity
Ród wasz — to pamiętajcie o czci i ojczyźnie,
I o sławie, Polacy, bo strach, gdy się wśliźnie,
Kala wszystko, a w wojnie jedynie pomaga
I zdobi czynem świetnym dzielność i odwaga.
Więc was proszę i wzywam, bo bój jest już bliski
I Teuton triumfuje, gotujcie pociski;
Teraz, jeśliście kiedy mężne piersi w zbroi
Okazali, pierś silną nastawić przystoi...
Jakim kto się okaże, blask osiągnie taki".
Skończył; każe grzmieć w surmy, ruszyć naprzód znaki,
I na wroga groźnego pędzi hufce śmiele.

Wypadają zastępy, a król mknie na czele.
Pierwszy szerzy rzeź straszną, wdziera się w oddziały,
Powala niezliczonych; rosną trupów wały
Wokół. Jak ongiś Tydeus [13] dziki i ponury
Szalał koło skalistej, groźnej Sfinksa góry,
Lub Hektor wojowniczy, co zasłał ciałami
Greckich książąt równinę pod Troi murami —
Tak król srogi germańskie tłumy trupem kładzie,
Szczęśliwy wódz, szczęśliwy w zwycięskim napadzie.

Tuż rusza jazda polska w ślad za jego drogą.
Rycerze, podnieceni wojenną pożogą,
Rwą naprzód, ostre dzidy wcisnąwszy w ramiona,
Do ataku; puklerzem lśni pierś osłoniona.
Zwiększają siły, w ciała godzą wskroś żelazem,
Łamią wpół, ranią grotem, raz zdwajają razem,
Tną zbroje, mężów rąbią — i w podziemne gaje [14]
Germańskich dusz ślą tłumy, gdzie huk nie ustaje
Flegetonu.[15] Do ciemnej Eumenid [16] komnaty
Spadają dzielne ciała wskutek tchu utraty.
Zapał rośnie w żołnierzach, żądza walki warczy,
Miecze niecą błysk wokół, słychać szczęk, zgrzyt tarczy,

Okrzyk straszny się zrywa, miesza koni rżenie,
Bój na miecze się toczy — i całe przestrzenie
We krwi toną od rzezi; ziemia drży shańbiona
Stosami gęstych trupów, a niebios osłona
Od cięć błyska. Trwa zamęt i wojenna wrzawa
Tak olbrzymia, że hukiem takim nie napawa
Świata Etna, gdy Cyklop cios w jej wnętrzach zada.[17]

Widząc to Witołd ostrzej na wroga napada,
Sam ściąga niedobitki i z garstką na przedzie
Od lewej strony zastęp Tatarów w bój wiedzie;
Łamie hufce germańskie, a z nim reszta młodzi
Zbrojnej w łuki, oszczepy, z groźnym krzykiem godzi,
Rany zwiększa ranami, wskroś piersi rycerzy
Przeszywa w strasznym starciu i mord krwawy szerzy.

Jak Orion,[18] kiedy ciosem potężnej wichury
Uderzy z wyciem burzy we wsie, zbocze góry:
Domy drżą pod razami, grad bije z wysoka,
Niwy płaszcza białego wnet kryje powłoka,
W dolinach zaś zebrane pienią się bałwany —
Tak rzeź pokrywa błonia i kwitnące łany
Stosami trupów pruskich: tu nędzne kawały
Ciał wpół zrąbanych w krwawej posoce pływały,
Tam się ranni słaniali, ich śmiertelne bole
Jęki straszne rodziły . . . a żywi przez pole,
Spiętrzone wałem trupów, mknęli w gęste bory.

Król każe rotom jazdy, by zmylić pozory,
Z innej strony powoli zajść nieprzyjaciela
I szturm przypuścić. Sam zaś napaść się ośmiela
Z hufcem lśniącym od zbroi na mistrza oddziały.
Rusza... za nim w trop Witołd, wiodąc z chanem cały
Zastęp tatarski, szczęściem boju podniecony.
Szybko, groźnie naciera na tyły i plony
Okrutnej walki zbiera: od ciosów śmiertelnych
Walą się szyki pruskie kawalerów dzielnych.

A teraz, wy beockie przesławne boginie,[19]
Odświeżcie czyny dawne, których pamięć słynie,

Opiewajcie mi ogrom klęski i zwycięstwa,
Które odniósł mąż polski, znany w bitwie z męstwa,
Pokonawszy zastępy pruskie i Germanów
Dzielne ludy, rycerzy, książąt, szlachtę, panów;
Ten czyn pieśnią ogłoście, dziewice-boginie.
Niech triumf wielkiej wojny i sława popłynie
Hen poza oceanu dalekie wybrzeża,
Niech w całej żyznej ziemi jej blask się rozszerza.

Kiedy Teuton nieszczęsny zewsząd otoczony
Poznał grozę i niemoc swych sił do obrony,
Bo już zwycięstwo Polsce dawała rozprawa;
Strach wstrząsnął serce mistrza, sromotna obawa
Przez pierś książąt przebiegła, a rycerzy ciała
Mroźnym dreszczem przejęła, trupią bladość wlała
W oblicza, szepcąc słowa haniebnej nadziei.
Już każdy pragnie tylko wyrwać się z kolei
Okrutnej walki szybko i pędzi w cwał konie.
Niestety ujścia nie ma... zewsząd całe błonie
Zamknęły szyki polskie, tatarskie dokoła.
Próżno mknie w przód, zawraca, ujść cało nie zdoła:
Więc przebojem zamyśla wydrzeć ocalenie.
Jak jeleń ze swą trzodą rzuca dolin cienie,
Gnany przez psy Molosów,[20] i podniebne góry
Co tchu osiągnąć pragnie lub ujść w bór ponury;
Pędzi naprzód przez ciernie, zarośla, rozłogi
I śmierci niebezpieczeństw nie odczuwa trwogi —
Tak hufiec przerażony jedną żądzą pałał
Ucieczki z pola walki... Lecz los nie pozwalał.

Bliski śmierci zastępie, gdzież w tej chwili była
Buty występnej sława i dziedziczna siła?
Gdzie miecze zakrwawione wówczas się podziały,
Co szydzić się ważyły z króla Polski chwały?
Gdzie zawarty z Konradem twój układ wierności,[21]
Który pomógł ci posiąść pruskiej ziemi włości?
Ległeś w walce i groźnie pomszczona twa zdrada.
Już Polak nad Prusami zbyt butnymi włada,
Panuje i po wieczne będzie dzierżyć czasy
Ich miasta, grody, porty, wsie, role i lasy.

Los się zbliżał i gwiazdy szczęśliwie sprzyjały
Doszczętnej klęsce srogiej germańskiej nawały;
Zwycięstwo wzlatywało ponad polskie szyki,
Głosząc radość, na męstwa cześć wznosząc okrzyki.
Niosło w dani szlachectwa, rycerzom zaszczyty,
Wodzom wieńce laurowe, triumf znakomity
W darze i pomagało zbierać rzezi plony.
Wśród pruskich zaś tysięcy postać Tyzyfony [22]
Z rojem węży na głowie kroczyła złowroga,
Strach rzucała na mężów, a piekielna trwoga
Biła wokoło strasznej, śmierć wróżącej zjawy,
Co nadzieję ucieczki wśród krwawej kurzawy
I ran srogich głosiła... Tymczasem okrzyki
Grozy, jęki i wojny zamęt wkoło dziki
Napełniał błonie, niebo, bo dzielni Polacy
Rozrywali szeregi i w orężnej pracy
Szli naprzód nieugięci po wroga sztandary,
Upojeni zwycięstwem zasłużonej kary,
I cięli bez różnicy książąt czy rycerzy.

Wtem sam mistrz się nawinął... nieszczęśliwiec bieży,
Jak śmierć blady na twarzy, drżąc na całym ciele,
Wśród nędznych niedobitków — a tych już niewiele —
I wpada na dzielnego groźnej wojny syna... [23]
Nie waha się mąż sławny, nędzną głowę ścina,
Ściąga zdobycz zaszczytną, świetną zbroję wdziewa
I wszystkich chwałą czynu niezwykłą olśniewa —
Co uznała prócz Polski zagranica cała.
Padł mistrz; garstka w rozpaczy, bez wodza została,
We krwi brocząc od ciosów, bez sił i zachęty,
Chciała uciec, lecz odwrót zewsząd już zamknięty:
Stanął wkoło lśniąc w zbroi żołnierz i Mars srogi.
Ci pod jarzmem kark zgięli, inni schodząc z drogi,
Wśród wałów trupów wstrętnych kryli krwawe ciała,
Część wzniósłszy w górę ręce o łaskę żebrała.
Lecz słowa ich daremne, próżne łzy i prośby,
Żołnierz był nieugięty, bo germańskie groźby
I dwa miecze skrwawione, ich buty oznaka
Przed bojem, pobudziły do gniewu Polaka.

Wówczas wszystkie zastępy wycięto do szczętu,
A zwycięski Sarmata z krwawego zamętu
Uniósł całą broń wrogów, wszystkie ich sztandary,
Od krwi, kurzu stwardniałe, i na znak ofiary
Poświęcił dla twej chwały święte znaki Tobie,
Czcigodny Stanisławie; na Twym świętym grobie
Powiewają chorągwie przybite u góry
W świątyni, której ledwie zmieścić mogą mury
Tyle broni wspaniałej pobitego wroga..

...Triumf taki blask wzniecił, iż w podniebnę strony
Wdarł się, w Feba pałace, a zaszczyt wspaniały
Nową sławę przyłączył do dawniejszej chwały,
Którą podła Germania często chciała skrycie
Mocą orła czarnego zniszczyć całkowicie,
Zabrać role kwitnące, wydrzeć pruską ziemię
I spod władzy Polaków uwolnić jej plemię,
Lecz pod ciosem pogromów utraciła siły,
Bo lat wiele ją boje śmiertelne raniły...

.....Jak strzelec zmęczony,
Którego ząb lwa zranił, lub tygrysie szpony,
Brocząc krwią z rany strasznej, zdąża w bór ponury;
Tu i tam krąży zwolna i kryje się w góry,
Drżąc ze strachu, by może nie wywabić z leża
Wśród głazów zwisających drapieżnego zwierza —
Tak Germania zbyt dobrze pamięta okrutne
Ciosy i chociaż dawniej knuła plany butne
Przeciw Polsce, po klęsce jakby oniemiała
Z bojaźni.....

OBJAŚNIENIA

[1] w północnym świecie (Niedźwiedzica jest znakiem krajów północnych).
[2] przyczynie — rozprawie, bitwie.
[3] Grom — podany tu jako przydomek Witołda, który jak grom spadał na nieprzyjaciół.
[4] Massageci oznaczają tu Żmudzinów. Humaniści lubili używać starożytnych nazw różnych nieznanych ludów.
[5] bóg słońca, Apollo.
[6] dar Cerery — zboże.
[7] Styks — rzeka mitologiczna, płynąca w podziemiach „tamtego świata".
[8] Tartar — podziemny świat, dokąd dusze szły po śmierci.
[9] porównanie z gwałtowną burzą, gdy gromowładny Jowisz ciska pioruny.
[10] Krzyż — tutaj: Krzyżacy.
[11] u grobu św. Stanisława na Wawelu.
[12] Achates, przysłowiowy (co do wierności) towarzysz Eneasza, bohatera trojańskiego i rzymskiego.
[13] Tydeus — bohater sławnej wyprawy „Siedmiu przeciw Tebom" (wyzwolenie miasta Teb). Góra Sfinksa jest tam właśnie.
[14] do podziemia, do piekieł.
[15] Flegeton — czarna, ponura rzeka w podziemiach (wedle mitologii).
[16] Eumenidy (Erynie) — Furie, boginie zemsty, z wężami na głowie, mieszkające w Tartarze.
[17] W podziemiach wulkanu Etny (na Sycylii) miała się znajdować kuźnia boga-kowala Wulkana (Hefajstosa) i jego czeladników, jednookich Cyklopów.
[18] Orion — konstelacja gwiezdna, sprowadzająca burze.
[19] mowa tu o Muzach, żyjących rzekomo na górze Parnas w Beocji.
[20] Molosowie — myśliwski szczep w Epirze (w półn. Grecji). Ich psy były złe i czujne.
[21] Aluzja do sprowadzenia Krzyżaków do Polski w 13 w. przez łatwowiernego księcia Konrada Mazowieckiego.
[22] Tyzyfona — jedna z Eumenid (Erynij), bogiń pomsty.
[23] Poeta pozwala sobie rzecz przedstawić tak, jakby mistrz krzyżacki Ulryk zginął z rąk „groźnej wojny syna", tj. jakiegoś znakomitego polskiego rycerza. Może ma na myśli Zawiszę Czarnego?

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

Z „ŚPIEWÓW HISTORYCZNYCH"



Chorągiew komtura brodnickiego, Baldwina Stala

„ŚPIEWY HISTORYCZNE“ Juliana Ursyna Niemcewicza, wydane w 1816 r., a pisane (z wyjątkiem niektórych) na krótki czas przedtem, powstały z inicjatywy „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, które po rozbiorach Polski starało się wszelkimi sposobami podtrzymywać ducha w narodzie.

W dniach upadku i klęski, czy w dniach niepewności losu i złudnych nadziei, Towarzystwo to, któremu przewodniczyli ludzie tej miary, co Albertrandy i Staszic, starało się krzepić Polaków wspomnieniami wielkiej naszej przeszłości, zarówno na polu politycznym jak i kulturalnym. Stąd wypłynął piękny projekt zbiorowego opracowania historii polskiej, stąd projekt Jana Pawła Woronicza stworzenia dla szerokich warstw społeczeństwa „Pieśnioksięgu“, w którym by opiewane były dzieje Polski, jej piękność, bogactwa i pamiątki.

„Pieśnioksiąg“ Woronicza nie doczekał się realizacji, zostały z niego tylko fragmenty. Za to pojawiły się „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza, które miały za cel spopularyzowanie w 33 pieśniach czy dumach „znakomitszych narodu naszego spraw“. ...„Pierwszym pieśni tych celem — pisze w przedmowie sam autor — było dać poznać w kształcie łatwym, a przez powab muzyki przyjemnym, znakomitsze narodu polskiego zdarzenia; wystawić, ile można, obraz każdego wieku, zwycięstw, którymi się kraj rozszerzał, szyków oręża i zbroi, jakich używał; obrządków, zwyczajów, wszystkiego na koniec, co nosi narodowości cechę...“

W śpiewach swoich trzymał się Niemcewicz, starym zwyczajem, porządku chronologicznego wedle książąt i królów polskich; ale nie o królach tam tylko mówi. Z obowiązku historyka stara się wydobyć z opowiadania epokę, a z obowiązku dobrego obywatela-patrioty stara się uwydatniać rysy bohaterskie, podniosłe, godne być przykładem dla młodzieży, o której przede wszystkim myśli. Obok cnót wojenno-

rycerskich, chwali poeta również cnoty pokojowe, cywilne; podkreśla siłę charakteru, wytrwałość, poświęcenie dla ojczyzny i współobywateli.

Pragnął Niemcewicz, aby jego utwory upowszechniły się jak najszerzej, stały się śpiewami młodych, aby przez matki polskie nucone były dzieciom, niosąc w dalekie pokolenia miłość kraju i męstwa przodków. Niektóre ze „Śpiewów historycznych", jak np. o Piaście, Leszku Białym i Goworku, o Zawiszy Czarnym, jak dumy o Żółkiewskim lub Stefanie Potockim, jak wreszcie „Pogrzeb Księcia Józefa Poniatowskiego" doczekały się istotnie wielkiej popularności. Zresztą dziełko Niemcewicza, opatrzone w nuty i ilustracje, zdobyło w ogóle serca rodaków i miało mnóstwo wydań, mimo że autor nie był poetą o orlich lotach.

„Grunwald" Niemcewicza, figurujący w „Śpiewach" pod tytułem „Władysław Jagiełło", opiera się w swym opowiadaniu na Długoszu. W pierwszych zwrotkach uwydatnia związek Grunwaldu z chrztem Litwy; bo właśnie chrzest Litwy usuwał grunt spod stóp Krzyżaków i skłonił ich do wielkiej wojny. W ciągu dalszym położył poeta nacisk na epizod z mieczami i na pojedynek króla z krzyżakiem Dypoldem. Udatnie wypadły strofki o krwawej bitwie (7) i o pogromie Zakonu (8). Wrażenie ich osłabił nieco poeta łzawą zadumą szlachetnego Jagiełły nad zwłokami mistrza Ulryka, lecz za to ostatnie słowa o sztandarach zdobycznych mają siłę przepowiedni:

„Sczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nikt nie zgładzi dnia tego pamiątki."

Mimo niewielkiej wartości artystycznej, śpiew barda Ursyna ma swoją wagę. Przez dziesiątki lat budził wspomnienie o świetnym triumfie sprawiedliwości nad butą i złością.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO

1

W bluźnierskich błędach Litwin zaślepiony
Fałszywym bogom oddawał ofiary,
Kiedy Jagiełło lud swój ulubiony
Prawej Chrystusa przyszedł uczyć wiary:
Kruszył bałwany; gdzie gmachy pogańskie,
Wznosił przybytki i ołtarze Pańskie.

2

A kędy Wilii płynęły strumienie,
Lud, w śnieżnych szatach zgromadzon w porządku,
Ze chrztem odbierał światło i zbawienie;
Gdy wśród świętego kapłanów obrządku
Donoszą gońce, że Krzyżak zdradliwy
Mieczem i ogniem niszczy polskie niwy.

3

Król, rozgniewany czynem tak zuchwałym,
Rozsyła wici w powiaty i ziemie:
Ciągnie ozdobne rynsztunkiem wspaniałym
Na dzielnych koniach mężne Lecha plemię:
Książę Mazowsza z swym ludem gotowym,
I śmiały Witold w pancerzu stalowym.

4

Już do Grunwaldu wojsko się zbliżało,
Kiedy przed królem mąż krzyżacki staje,

Trzymał dwa miecze, z postacią zuchwałą.
„Mistrz mój — zawołał — teć oręże daje
„Dla lepszej w walce dzisiejszej usługi:
„Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi."

5

„Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą
„Na karki dumnych" — Jagiełło odpowie.
Tu wzniósłszy oczy: „O najwyższa Władzo!
„Boże, co dzierżysz w ręku ludów zdrowie,
„Błogosław w słusznym boju wojownikom,
„Daj nam zwycięstwo, zgubę najezdnikom!"

6

A wtem na konia cisawego wsiada,
Dobywa miecza i zniża przyłbicę;
Wojsko, nim trąba walkę zapowiada,
Zaczęło śpiewać pieśń „„Bogarodzicę":
Huknęły kotły, dźwięk zaszczęknął broni
I ziemia drżała pod tętentem koni.

7

Jak czarne chmury, pędzone wiatrami,
Gdy z srogim grzmotem uderzą o siebie,
Tak hufce polskie z Krzyżaków rotami
Zwarły się z trzaskiem w tej ciężkiej potrzebie.[1]
Wre krwawa bitwa, a zawsze na przedzie
Król swych Polaków, Witold Litwę wiedzie.

8

Wtem z boku Dypold, rycerz znamienity,
Leci i wszystko wywraca i łamie;

[1] — walce.

Miał zbroję czarną, krzyż na boku ryty,
Kaptur na głowie, pas złoty przez ramię.
Nikt go nie wstrzymał i nikt go nie strwożył,
Natarł na króla i drzewcem nań złożył.[2]

9

Król odbił włócznią; drugi cios śmiertelny
Dypold nań mieczem ogromnym wymierza;
Widzi to, bieży Oleśnicki dzielny
I jednym cięciem obala rycerza.
Ten, gdy powstając sztyletu dobywa,
Król ostrym mieczem piersi mu przeszywa.

10

Złamani ze wszech stron nieprzyjaciele
Zwycięskim wojskiem, nie walczyli więcej.
Poległ Mistrz Wielki na rycerstwa czele,
Poległo Niemców sześćdziesiąt tysięcy,
Uszłe przed mieczem szczątki rozproszone
W lasach i bagnach znalazły ochronę.

11

Po bitwie pierwsi z wodzów znakomitych
Przyszli rzucając pod królewskie nogi
Pięćdziesiąt jedną chorągwi zdobytych:
Za nimi widok przybliżył się srogi:
Na czarnym wozie powoli wiedzione
Wielkiego Mistrza zwłoki, krwią zbroczone.

12

Król, patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie: „Zgon — rzekł — tego męża
„Zagładza pamięć na krzywdy zadane;
„Winien czcić męstwo ten, który zwycięża.
„Niech ten, co walczył i mężnie, i długo,
„Ostatnią będzie uczczony posługą.

[2] uderzył na niego kopią.

13

„Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
„W triumfie nieście: niech w państwa stolicy
„W świętym przybytku będą zawieszone;[3]
„Niech na ich widok zadrżą hołdownicy.
„Sczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
„Lecz nikt nie zgładzi dnia tego pamiątki."

[3] tj. w katedrze wawelskiej, u grobu św. Stanisława.

JULIUSZ SŁOWACKI

Z „ZAWISZY CZARNEGO"



Chorągiew wojsk zaciężnych z Westfalii

W latach 1844—1845, w pełni okresu mistycznego, tworzy Słowacki swój dramat o „Zawiszy Czarnym", wielkim rycerzu-ofiarniku. Tworzy go w dwóch redakcjach, które tak ideowo (w ujęciu postaci Zawiszy) jak i w sposobie opracowania, układzie poszczególnych scen, wprowadzeniu nowych wątków itd. różnią się od siebie.

„Zawisza Czarny", podobnie jak inne utwory okresu mistycznego, odznacza się niezwykłością pomysłów, niesamowitą potęgą wyrazu i tą jakąś wybuchowością stylu i języka poety, która i zadziwia, i przeraża niekiedy czytelnika.

Wśród obrazów, wyrzucanych z fantazji poety z niesłychaną siłą, uderza w „Zawiszy" obraz bitwy pod Grunwaldem, której uczestnikiem i głównym bohaterem czyni Słowacki właśnie swego niezłomnego rycerza. Nie jest to naturalnie Grunwald historyczny, ale Grunwald Słowackiego-mistyka.

Na moralne znaczenie wielkiego zwycięstwa, nawet na jego jakby nadprzyrodzone kierownictwo, zwracali uwagę już pisarze poprzednich wieków. Lecz Słowacki-mistyk pole grunwaldzkie napełnił duchami i cudom kazał się tam dokonywać; poniosła przez to stratę prawda historyczna, ale zyskała poezja. Toteż nie patrzmy na pomyłki i anachronizmy Słowackiego.

Patrzmy natomiast na wspaniały rozmach bitewny w przedstawieniu Słowackiego, na potęgę ekspresji, na świetne zużytkowanie rytmu (zmiennych miar) dla wyrażenia „ruchu bitwy i dreszczów wizji". „Takiej poezji batalistycznej" — pisze słusznie prof. J. Kleiner — „nie znano dotąd i godna ona była, żeby opiewać dzieło Grunwaldu".

Wobec nieukazania się dotąd pierwszego naprawdę krytycznego wydania „Zawiszy Czarnego" w opracowaniu J. Kleinera (w XII tomie „Dzieł wszystkich", edycji Ossolineum), posługujemy się tutaj tekstem z wydań A. Górskiego i M. Kridla. Idzie nam o jak najpełniejszy obraz bitwy. Składamy go więc z fragmentów Chóru i opowiadania Cygali'ego, który cesarzowi Zygmuntowi maluje przebieg tego historycznego starcia.

G R U N W A L D

I.
CHORUS

Słyszycie jęki? To Polska złamała
Czarne szwadrony Krzyżaków — i goni.
Litwin na czele w okrwawionej dłoni
Trzyma chorągiew, a chorągiew biała;
A on ją spuścił i we krwi umoczył,
Około kija okręcił — i skoczył.

A za nim, niby tęczowane chmury,
Pełne słońc — lecą husarze w pancerzach.
„Lob der Gott" — krzyczą żelazne komtury —
I dzidy czarne, jako szczeć na jeżach,
Szczeć, naprzód strachem zjeżona do góry,
A potem w polskich tęczowych odzieżach
Serc szukająca.

Oto dziś, zaśpiewawszy pieśń „Bogurodzica",
Rzucili się pod Grunwald — szwadron za szwadronem;
Nie spuszczajmy ich z oczu, nie odwróćmy lica,
Oczyma ich oświećmy, pochłońmy ich łonem...

II.
CYGALI OPOWIADA CESARZOWI ZYGMUNTOWI O BITWIE

Tak wielkiej czerwieni,
Takiego krwi bluzgotu nie było na świecie
Od czasu, jak Rzym stoi. Pola trazymeńskie,
Przy zakrwawionym słońcu, w łona otworzone
Biorące żywcem całe kohorty czerwone,
Które się jeszcze w ziemi pochłonięte rżnęły —
Są niczym...

...Mądrość (Jagiełło) w tej walce pokazał,
A męstwo, mówią ludzie, większe niż człowiecze.
Rano dwa olbrzymie miecze
Przysłali mu Krzyżacy, jak czaple na błocie
Szykując swe wysokie knechty i sztandary.
Więc — jeszcze w szarzy, w ciemnocie —
Te miecze, krzyżackie dary,
Jak gwiazda, nocą wysłana,
Coraz większym się w crucis rozwijała złotem
I szła, i przed królewskim stanęła namiotem,
Jakby kometa jaka śmierci niespodziana.
Myślał Krzyżak, że kiedy królowi zagorą
Te dwa miecze i nagle staną przed oczyma,
Rozdąsa się i ducha w piersi nie utrzyma;
Ale król z wielką pokorą
I niby z uszanowaniem
Te miecze przyjął, przycisnął
Do serca i tym krzyżem srebrnym przekreślony,
Stanął na kształt ognistej pochodni i głowni,
Przez te miecze, największe w Krzyżaków zbrojowni,
Uczyniony na polu straszliwym rycerzem.
A za nim — las sosnowy i rzadkim harcerzem
Osypane równiny jezior, błot miesiące,
I strzałki już, jak srebrne gwiazdy spadające.
Przećmiły nieco niebios czystego błękitu —
Więc i pochodnica świtu,
Ta Polaków obrona, *stella matutina*,
Wyszła i, nad lasami stojąc, wysłuchała
Pieśni całej...

...Z dwóch puszek Krzyżak ognia dał, i czarnych księży
Zszykowawszy w klin jeden, straszną zaczął bitwę,
Cały na lewe skrzydło wytężon, na Litwę
I żółtego Tatarzyna —
I tak jak bocian w żaby, tak się ostrzem klina
Wbił i szedł ciągle głębiej falą wciąż idącą,
I tę Litwę, na żmudzkich konikach siedzącą,
Połamał z końmi razem
I przez plecy się pokazał zakrwawionym żelazem.

Rozprószywszy Tatarów —
I na smoleńskich bojarów
Futrzane pułki, twarze czerwone spod borów
Wyglądające, natarł cicho, nie rozbity,
Jakoby klin okropny żelaznych upiorów,
Czarnych, z krwawymi kity,
I — pułk jaki piekielny,
Od Plutona wysłany, przeszedł nieśmiertelny
Przez pole, pełne trupów...

...A gdy Jagiełło ujrzał, że szatan się cieszy,
Widząc pokorne chłopki litewskie, że w szykach
Leżą, przy swoich żmudzkich pobitych konikach,
Za Polskę tak pobici, a krew smugiem ciecze,
Zdjął z serca swego owe płomieniste miecze,
Które mu dotąd cicho na sercu leżały.
Kazał Oleśnickiemu, aby pastorały
Swe biskupie położył, a stanął na górze
W mieczach, jak aniołowie, walk czerwonych stróże —
Gdy on sam na krzyżacką rzuci się harmatę
I pójdzie krwią farbować swoją chrzestną szatę,
Jak prosty żołnierz, nie chcąc sławy ani świadka:
To mówiąc, szedł, a za nim szedł biskup jak matka,
Z tymi mieczami dwoma...

...I kurz się na tym polu czerwony rozwinął,
Straszniejszy niż płaszcz, który chowa czarne zbrodnie —
I w kurzu się błyskały miecze, jak pochodnie,
I świat się jako błotem skrwawionym zamazał,
I czasem się w kurzawie albo król pokazał,
Albo cały krzyżacki hufiec z chorągwiami
Uciekający — albo ten biskup z mieczami,
Albo inne straszliwe boju tajemnice,
Śmierć — widmo jakieś czarne i trzy błyskawice...

...I rycerz jakiś, większy od króla Litwina,
Zapanował nad walką — sam na środku błonia
Obracający gwiazdę, co była zrobiona
Z mieczów, a chorągwiami po końcach czerwona.
Czterma kopytami konia

Na podartą wskoczywszy chorągiew, krwią zwalał,
Zerwał, przedarł — oszalał —
A Bóg go wtenczas straszną ciemnością owinął.
W tej ciemności Mistrz zginął! —
Okropne duchów dzieło!
Dziesięć strasznych chorągwi czerwonych zniknęło,
Dwóch komturów w złoconej zbroi i w lampasie
Padło, okropne mary
Pokazały się...

...I byłby ten dzień wielkiej chwały
Widział Jagiełłę w trumnie, bo się w tej kurzawie
Był zadumał i stanął w modlącej postawie,
Głowę odkrywszy, prosząc o spędzenie mroku;
A przypadł nań ogromny czarny Krzyżak z boku,
Dypold z Kiekierzyc, z kopią już dobrze czerwoną,
Prosto w strzemieniu na łeb króla nasadzoną,
Gdy biskup Oleśnicki (są w tym tajemnice
Duchów), niezbrojna wcale przed walką osoba,
Teraz, w ręku trzymając owe miecze oba,
W oba, jak w srebrne nożyce,
Przyjął te czerwono-włose
Szyszakowe straszydło i rozciął, jak osę,
Przez zbroję i kości przegnał,
Żelazem rozciął na poły,
I ciało ruszające się krzyżem przeżegnał,
Królowi temu będąc właśnie — jak anioły
Od nas wysłane...

...Odtąd — śmierć i królowa ostatnich przerażeń
Panowała na polu: z krzykiem nocnych ptaków
Trupem legło pięćdziesiąt tysięcy Krzyżaków...

OBJAŚNIENIA

W. *3.* Litwin na czele itd. — mowa o W. Księciu Witoldzie.
W. *9.* *Lob der Gott* — Bogu chwała (zawołanie krzyżackie).
W. *10—11.* Dzidy krzyżackie przyrównane do kolców jeża; są one skierowane ku piersiom (sercom) polskich husarzy.
W. *20.* Pola trazymeńskie — bitwa Rzymian z Hannibalem nad jeziorem Trazymeńskim (we Włoszech), stoczona w r. 217 przed Chr., znana z krwawego przebiegu.
W. *30.* w szarzy — w przedświtowym szarzeniu.
W. *33.* *w crucis* — miejsce niejasne; chyba znaczy tyle, co: „w kształt krzyża" (od *crux, crucis* = krzyż). Oznaczałoby to, że miecze krzyżackie (złożone w kształt krzyża), niesione przez posłów, wyglądały jak jakaś gwiazda wędrująca, podobna do złocistego krzyża, która zatrzymała się przed namiotem Jagiełły.
W. *38.* rozgniewa się i nie zapanuje nad sobą.
W. *44—45.* Tzn., że od tych mieczów zeszła jakaś tajemna siła na króla.
W. *46.* i rzadkim harcerzem osypane równiny jezior — tzn. równiny nad jeziorami, na których tu i ówdzie wojska zaczynały już harce.
W. *50.* pochodnica świtu — ta gwiazda, która niesie pochodnię świtu.
W. *51.* stella matutina — gwiazda poranna; nazwana „Polaków obroną", gdyż symbolizuje Marię Pannę.
W. *53.* pieśni śpiewanej przez lud i rycerstwo, tj. *Bogurodzicy.*
W. *54.* puszek — armat.
czarnych księży — mnichów krzyżackich.
W. *65.* futrzane pułki — w futrzanej odzieży.
W. *70.* od Plutona — boga piekieł. Pułk krzyżacki przezwany tu pułkiem piekielnym, który jakąś diabelską mocą przebija się przez wojska litewsko-ruskie.
W. *78—79.* Słowacki, niezgodnie z historią, przedstawią młodzieńca Oleśnickiego jako biskupa, z pastorałem na polu bitwy. „Biskup" składa pastorał, a przejmuje od króla owe miecze krzyżackie, z którymi jawi się w ciągu dalszym.
W. *82.* Jagiełło, jako neofita, pragnie odbyć teraz chrzest krwi.
W. *95 nst.* Tutaj wprowadza poeta w centrum walki Zawiszę Czarnego z jego przybocznym hufcem. Zawisza w szale bitewnym rzuca się z koniem na krzyżacką chorągiew, depce ją, rozdziera. Wtedy dzieje się coś niesamowitego: zapada ciemność, z rąk Zawiszy ginie wielki mistrz, Ulryk von Jungingen, giną zastępy krzyżackie, a jakieś mary pokazują się na pobojowisku.
W. *116—117.* Znów o Oleśnickim jako o biskupie.
W. *118 nst.* Rzecz przedstawiona tak, jakby Oleśnicki wziął między dwa miecze (krzyżackie), niby w rozwarte nożyce, rudego Kököritza w szyszaku i rozciął go w pół jak osę.
W. *122.* przegnał — przejechał, przerąbał.
W. *127.* Królowa ostatnich przerażeń — trwoga przedśmiertna.

HENRYK SIENKIEWICZ

Z „KRZYŻAKÓW"



Chorągiew najemników, zebranych przez wójta miasta Heiligenbeil (Święta Siekierka)

„KRZYŻACY" Henryka Sienkiewicza—to wielka epopeja narodowa, poświęcona odwiecznej walce, jaką Polska toczyła z zaborczym germanizmem, atakującym cały świat słowiański. Znakomity powieściopisarz-epik wybrał dla swoich celów kulminacyjny punkt tej historycznej walki, tj. okres zmagań polsko-litewskiej, jagiellońskiej monarchii z pysznym Zakonem Krzyżackim, i na takie tło dziejowe rzucił fabułę swego romansu: dzieje młodego rycerza, Zbyszka z Bogdańca, i jego nieszczęśliwej kochanki, Danusi Jurandówny.

Materialna treść powieść jest — jak zwykle u Sienkiewicza — bujna i bogata; żywa wyobraźnia twórcza nasuwa autorowi coraz to nowe pomysły, mnoży coraz to nowe epizody, tak że czytelnik jest — zdawało by się — całkowicie pochłonięty historią pary bohaterskiej i kilku głównych związanych z nią osób. Zbyszko, Danusia, Jagienka, Maćko z Bogdańca stali się rzeszom czytelniczym tak bliscy, że ma się wrażenie, jakby wyszli z ram powieści i przebywali jak żywi między nami. Było tak szczególnie w latach najbliższych ukazaniu się powieści. A pojawiła się ona między 1897 a 1900 rokiem.

Ale fabuła romansowa „Krzyżaków" nie stanowi wyłącznie o powodzeniu i znaczeniu dzieła. Nad „Krzyżakami" Sienkiewicza przewiewa potężny dech historii: wielkich zdarzeń i ważnych zagadnień. „Ponad roztoczoną w osnowie powieściowej szeroką dziedziną życia" — pisał niegdyś Walery Gostomski — „ponad rozlicznymi jej sprawami i zjawiskami, ponad jej dolą i niedolą unosi się wciąż, niby chmura burzliwa nad rozległym i żyznym polem, złowroga potęga Zakonu. Cień jej ponury pada na najjaśniejsze chwile życia, gromy z niej bijące druzgocą szczęście jednostek i rodzin, a gwałtowny wi-

cher nienawiści, co z niej wciąż wieje, wikła i mąci wszystkie sprawy ludzkie i płomienie żądzy mściwej w sercach rozdmuchuje". Nie darmo powieść nosi tytuł „Krzyżacy". Tak pisano w 1901 roku.

To jeszcze nie wszystko. Sienkiewicz zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że temat „krzyżacki" wyrasta daleko poza kulminacyjne grunwaldzkie czasy, że ciągnie się przez wieki. Miał głębokie odczucie żywiołowej walki plemiennej. Do epoki grunwaldzkiej pociągnęła go, jako epika, nie tylko wielkość tematu, bohaterskość i żywotność tych ludzi i czasów, moralne znaczenie zwycięstwa grunwaldzkiego, ale — i inne względy. Wszakże koniec XIX i same początki XX wieku były okresem niesłychanego napięcia agresywności niemieckiej względem Polaków, ciężkim, krwawym rylcem zapisanej w historii naszego narodu. Sam Sienkiewicz występował później z płomiennym protestem przeciwko pruskiej polityce eksterminacyjnej.

Powieść o „Krzyżakach" wynosiła problem zaborczości niemieckiej na arenę współczesności, aktualizowała go, dokonywała głębokiej analizy metod krzyżackich, sięgała do genezy wielowiekowych starć, pretensyj, nienawiści. Dokonywało tego nie pióro polityka o wytkniętej tendencji, lecz pióro wiedzącego i czującego artysty, gorącego Polaka. Obok postaci Zbyszka, Danusi i Jagienki wyrastała krwawa, tragiczna, na miarę starożytnych herosów stworzona postać Juranda, postaci krzyżackich straszliwych rycerzy i mnichów, a w oddali, w głębszym tle, rysowały się pomnikowo postaci: Jadwigi, Jagiełły, Witolda.

Bitwa pod Grunwaldem zamyka, niby wspaniała rubinowa klamra, powieść sienkiewiczowską. Jest wydźwiękiem powieści i zadośćuczynieniem ostatecznym za wszystko złe, upamiętnione na jej kartach. Jest równocześnie jednym z najświetniejszych obrazów Sienkiewicza — malarza-batalisty: jest jednym z najmocniejszych osiągnięć w naszej literaturze. Temu, kto ją raz ujrzał na kartach „Krzyżaków", nie pozwala zapomnieć o sobie.

„Krzyżacy" stają się dzisiaj — jakikolwiek byłby stosunek nasz do twórczości Sienkiewicza jako całości — utworem pełnym wymowy i nieprzedawnionych wartości. Z prawdziwym zdziwieniem spotykamy tam uderzające analogie do wypadków dopiero co przeżytych,

do metod i sposobów, stosowanych przez potomków i dziedziców malborskiego krzyżactwa. Czasem ma się złudzenie, że tamte piekielne komtury tylko inne przybrały nazwiska... Nie stracił też swego znaczenia grunwaldzki epilog sienkiewiczowskiego dzieła. Z falującym burzliwie uczuciem odczytujemy jego homeryckie epizody w momencie, gdy nowy, ogromniejszy Grunwald rozegrał się zwycięsko na nieskończonych polach walk, rozsianych po lądach i morzach.

ROZGROM KRZYŻACTWA

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą, i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęczeniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i, nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

— Niemce, miłościwy panie!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, po czym zawołał:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

— Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie — odpowiedział zdyszanym głosem Hanko: ale zza wzgórza kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powtórzył król.

A wtem Witold, któremu za pierwszym słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle — zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Odwołać drugą mszę, i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Jedź ty, bracie, a ja ostanę i drugiej mszy wysłucham.

Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili, gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa, i z dala już począł krzyczeć:

— Niemce! Niemce! widziałem dwie chorągwie!

— Na koń! — ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem.

A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tętent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty: wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armia krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porozjeżdżali się w mgnieniu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan, księży i pachołków. Ale w tej chwili rozległ się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ramiona, złożył pobożnie dłonie i wzniósłszy oczy ku niebu wolnym krokiem udał się do namiotu.

*

Lecz gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnymi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze, rozległej równiny zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwiana. Jeszcze dalej, hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem, wznosił się ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widnokrąg, po czym, zwróciwszy się do księdza podkanclerzego Mikołaja, zapytał:

— Jakiego dziś patrona?

— Dzień Rozesłania Apostołów — odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

— Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu tysięcy chrześcijan, którzy się dziś na tym polu zetrą.

I wskazał ręką szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do Tannenberga, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopii, które Zyndram z Maszkowic przysyłał jako straż osoby królewskiej.

*

Straży królewskiej przywodził Aleksander, młodszy syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który, szczególną „przemyślnością“ do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy, Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najsłynniejsi byli: Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Żóława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu rycerzy rakuskich rozciągnął, i drugi Czech Sokół, łucznik nad łuczniki, i wielkopolanin Bieniasz Wierusz, i Piotr Mediolański, i bojarzyn litewski Sienko z Pohosta, którego ojciec Piotr jednej chorągwi smoleńskiej przywodził, i krewny króla kniaź Fieduszko, i kniaź Jamont, a zresztą sami polscy rycerze,

„wybrani z tysięców", którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośrednio przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy, młodzieńczyk uczony, biegły w sztuce czytania i w piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzej giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak królewski. Dopełniało orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ścigłych biegunach mieli z rozkazami do wojsk latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną, błyszczącą zbroję, po czym przywiedli mu również „wybranego z tysięców" cisawego rumaka, który parskał nozdrzami na dobrą wróżbę spod stalowego naczółka i napełniając rżeniem powietrze przysiadał nieco, jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w ręku kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł z oblicza, małe, czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawiły się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł go żegnać krzyżem, spoważniał znów i pochylił z pokorą, przybraną w srebrzysty hełm głowę.

*

Tymczasem armia niemiecka, zstępując zwolna z wyniosłej równiny minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu, z polskiego obozu widać było doskonale groźną ławę zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr targający chorągwie na to pozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy, miecze, hełmy, baranki, głowy żubrów i niedźwiedzi...

...Krzyżacy spoglądając z góry na lesistą nizinę widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armia królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora, widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach [1] błyszczało coś na kształt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed Mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

Lecz próżno mówili o ich potędze. Mistrz Ulrych nie chciał im wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gończów nie rozsyłał, rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, a bitwa owa nie może zakończyć się inaczej, jeno straszliwą klęską

nieprzyjaciela. Dufny w siłę, jakiej żaden z mistrzów nie wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił wywiady, przedstawiał mu, że jednak wojska Jagiełły są liczniejsze — odpowiadał:

— Jakie tam wojska! Jeno z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, a reszta, choćby ich było i najwięcej, pośledni to lud, lepszy do łyżki niż do oręża.

I dążąc wielkimi siłami do bitwy, zapłonął teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem i gdy widok walnej chorągwi całego królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnym tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armia.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzać, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystym polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku Mistrza, jakim sposobem wywabić z zarośli nieprzyjaciela...

*

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją:

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

— Daj Bóg! — odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, a tymczasem heroldowie nie spiesząc się zbliżali się do obozu.

W jasnym świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropierzami[2] koniach bojowych; jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotym polu, drugi, który był heroldem księcia szczecińskiego: gryfa na białym polu. Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś zsiadłszy z koni stanęli po chwili przed wielkim królem i skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo.

— Mistrz Ulrych — rzekł pierwszy herold — wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną, i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłómaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulrych kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa i nastała cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać z cicha zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry tak odrzekł:

— Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc — amen.

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznym od jedwabiów, które po wierzchu zbroi nosili.

*

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany „czelny“,[3] złożony z najstraszniejszych rycerzy, za nim walny [4] — a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatywał Zyndram z Maszkowic i Witold. Ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach.

Bitwa miała tuż, tuż nastąpić...

*

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu, między Niemcami a armią królewską, wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy

całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po nim wiatr, a nad nim unosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimo woli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł,[5] piszczałek, i całe skrzydło litewskie zerwało się na kształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli od razu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy wymachując mieczami i sulicami lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy nim... Ujrzawszy więc rozpędzoną ćmę litewską zwrócił się do Fryderyka Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcieże i wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

— Gott mit uns! [6] — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie zniżywszy kopie poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry spadając coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał, i szły straszne, niepohamowane jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod nimi.

*

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny.

„Bogurodzica, dziewica,
„Bogiem sławiena Maryja!
„Twego syna, gospodzina,
„Matko zwolena, Maryja
„Zyszczy nam, spuści nam.
„Kiryjelejzon!

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i łęgom, i całej ziemi jak długa i szeroka.

„Zyszczy nam, spuści nam.
„Kiryjelejzon!

A oni śpiewali dalej:

„Twego dziela krzciciela, bożycze,
„Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.
„Słysz modlitwę, jąż nosimy,
„A dać raczy, jegoż prosimy,
„A na świecie zbożny pobyt,
„Po żywocie rajski przebyt.
„Kiryjelejzon! [7]

Echo powtórzyło w odpowiedzi: „Kiryjelejzooon!“ — a tymczasem na prawym skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

„Adamie, ty Boży kmieciu,
„Ty siedzisz u Boga w wiecu,
„Domieściż twe dzieci,
„Gdzie królują anieli.
„Tam radość,
„Tam miłość,
„Tam widzenie Twórca, anielskie, bez końca...
„Kiryjelejzon! [8]

I znów runęło echo po borze: „Kiryjelejzooon!“ Krzyki na prawym skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni wiedzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulrych, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca „czelnego“, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy

ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

*

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwarły się ze wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo, całkiem zakute w stalowe zbroje i na koniach stalą osłonionych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okryty?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki nasadzane krzemieniem lub gwoździami odbijały się tak o żelazne blachy jak o skałę lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze,[9] tratowały kopyta końskie. Kniaź Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojska pierzchła w stronę jeziora Lubiecz i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kośbę tak straszną, że całe pobrzeże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której były trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawiali opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupywały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szał bojowy. Pojedynczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się na oślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława prąc, tratując i miażdżąc konie i rycerzy smoleńskich, przyszła na koniec w bok

czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagały się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywodził.

*

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenie rycerskie. Wyparły nawet Niemców „drzewa“ [10] polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza, że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic, i nadworna, której Powała z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopij chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarczę, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł na kształt podciętych sosen witezie.[11] Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to „nieużyty“ i „natarczywy“ jest ten lud, lecz nowaków [12] i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimo woli konia, spoglądał przed się niepewnie, i nim się namyślił co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne, i biły miecze, biły oksze,[13] biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały jak w kuźniach żelazne blachy, śmierć gasiła, niby wicher, żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą.

Leciały w górę skry, skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków osuwały się po krwawych leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze [14] i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody Gamrata, który straciwszy tarczę zwinął w kłąb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugim zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich jak orzeł między żurawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli

mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, tak jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgii i Klingensteina, i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha spod Moguncji, i Nachterwitza też z Moguncji, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy, w lewo i w prawo, on zaś bił w nich jak w walącą się ścianę, i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, po czym widziano błysk topora i hełm niemiecki zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę kształtu sowiej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je, i wydarłszy mu brzeszczot zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu pożałował zabijać, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnymi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i na zawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko Ochwia, i Zych Pikna osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelichowa przywodził. Tam Powała z Taczewa, siłę nadludzką mający, obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powała z Wyhucza i Mścisław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokół i Zbisławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła jej w pomoc, siły zrównały się mniej więcej

i odrzucono Niemców prawie na pół strzelenia z kuszy od miejsca, w którym nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele, między przedchorągiewnymi, szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny herbu Sulima. W pobok walczyli brat jego Farurej i Florian Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiska, i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętymi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł, pracując, naprzód, jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywym męstwie. W sieradzkiej młody Zbyszko z Bogdańca rzucał się jak dzik w najgęstsze tłumy, zaś przy boku jego szedł stary, straszny Maćko walcząc rozważnie jak walczy wilk, który inaczej niż na śmierć nie ukąsi.

Szukał on wszędy oczyma Kunona Lichtensteina, ale nie mogąc go w tłoku dostrzec, upatrywał tymczasem innych, takich, którzy świetniejsze mieli na sobie stroje, i nieszczęsny był każdy rycerz, któremu się z nim spotkać przyszło. Niedaleko od obu rycerzy bogdanieckich ciskał się nieznośnie złowrogi Cztan z Rogowa. Po pierwszym spotkaniu rozbito mu hełm, więc walczył teraz z gołą głową, strasząc swą zakrwawioną włochatą twarzą Niemców, którym się zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed sobą.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy wtem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważyć.

Oto wracając z pogoni za Litwą rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy zniżając głowy spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwaliły się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już wszczynała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń triumfu:

„Christ ist erstanden!...[15]

. . . .

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęły się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą jak jeden mąż wojska polskie na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dzikie wrzaski wyrzynanych mężów zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepłe z przerażenia konie bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita cho-

rągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął, i rozkwitła wspaniale jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem triumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadał ze skrzętu [16] jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś patrząc z góry na bitwę zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

*

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich włodyków,[17] z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny,[18] w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic przelatując jak błyskawica wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, po czym chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on zwróciwszy się do piechurów machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś-Ma-ry-ja-Ła-skiś-peł-na-Pan-z To-bą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy; kmiecie z Małopolski i Wielkopolski, i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do królestwa, i Mazury spod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom.

*

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypł od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żóława chwycił za cugle konia, i choć król uderzył go włócznią po ręku, nie puścił. Inni zastąpili też drogę prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto Mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nie opodal wzgórza, na którym stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać. Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski, Zbigniew z Oleśnicy, skoczył co siły w koniu, do najbliższej cho-

rągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kiełbasa przywodził.

— Król w obieży.[19] Na pomoc! — zawołał Zbigniew.

Lecz Kiełbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną myckę z głowy i pokazując ją gońcowi zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla, za czym ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomny z kim mówi, zziajany, uniesion gniewem, zmierzył się istotnie na gońca, ów zaś, widząc z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszność, skoczył na powrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych jak tury koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam Wielki Mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale spod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spiął ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskim rzemiośle. Ten mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb skruszył mu hełm i zwalił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył.“[20]

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwycił kniaź Jamont, a on sam leżał śmiertelnie

porażon w swej białej jace[21] na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoicielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze spod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam Mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: „Herum! herum!" — zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kiełbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pospieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie Wielkiego Mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą Mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, po czym minąwszy się zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! sam Mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kiełbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi chełmińskiej, między którym wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się Mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej, i ustępowali zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać

się nieznacznie z morderczego skrętu. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelezie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

*

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbiły się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła jak wicher na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do Mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłymi usty komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrzał na niego ponuro i wzniósłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknąwszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwalił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

*

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atylą i Karła Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części jak zżęty łan zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju Mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze

pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę, i poklękali na obluzganej krwią ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wolało umierać niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy, wedle swego wojennego zwyczaju, w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy popodnosiwszy przyłbice żegnali się z sobą dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni na koniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordię[22] lub porzuciwszy naszyjniki zwracali się do towarzyszów z prośbą: „Pchnij!"

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedynczym rycerzom. Ale w ogóle i te rozbite gromady biły się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto klękał prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozprószył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden otoczonym przez piechotę kmiecą utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny wkopany na wzgórzu, i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rażony.

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

— Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się, alibo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

— Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił.

To rzekłszy skoczył ku niemu i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową.

*

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot: „Erbarme dich meiner!" (oszczędź mnie) — i złożył z przestrachu ręce, co usłyszawszy młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekręcić miecz i płazem tylko w spasły, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu giermkowi, który założywszy mu powróz na szyję powlókł go jak wołu tam, dokąd spędzono wszystkich jeńców krzyżackich...

*

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną „przednią straż" teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów" przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onym krwawym boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernym wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!" Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiódł szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidłowski, herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw

Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy klękając przed majestatem błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłute sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki leżące na wznak na ziemi rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata...

Za czym łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczcimy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordią rozciętym, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga, i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima, i grafa Wendego, który legł z ręki Powały z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli na kształt zrąbanych pni, ze zwróconymi ku niebu i białymi jak ich płaszcze twarzami, z otwartymi szklanymi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Z dala pod zorzą widać było oddziały litewskie ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonymi piersiami spoglądali na te chorągwie i na te trupy leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór kładący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzał jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!...

Po czym podniósł dłoń i począł żegnać nie tylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawym od blasku zorzy i oczyszczonym przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci z dziesiątkami tysięcy ciał dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianym niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

*

I nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

*

Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!



Fragment pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, zgruchotanego przez Niemców

OBJAŚNIENIA

[1] W kuszczach — w zaroślach.
[2] kropierz — okrycie na konia.
[3] hufiec „czelny" — czołowy.
[4] hufiec walny — tj. główny.
[5] krzywuły — krzywe trąby.
[6] *Gott mit uns!* — Bóg z nami.
[7] W niniejszym wyjątku z „Krzyżaków" zastąpiono dawny, błędny tekst „Bogurodzicy", który pomieścił Sienkiewicz, tekstem ustalonym wedle najnowszych badań. Do właściwej „Bogurodzicy" należą tylko pierwsze dwie zwrotki. Zwrotka o Adamie pochodzi z pieśni późniejszej, dołączonej z czasem do „Bogurodzicy".
Uwagi do „Bogurodzicy": Bogiem sławiena — przez Boga wsławiona; gospodzin — pan; zwolena — wybrana; zyszczy nam — pozyskaj nam; spuści nam — spuść, ześlij nam; Kiryjelejzon — tj. Kyrie Elejzon (grec.): Panie, zmiłuj się.
Twego dziela krzciciela — dla Twego chrzciciela (św. Jana), bo *dziela* znaczy *dla;* bożycze — Synu Boży! (bożyc — syn boga); jąż nosimy — którą zanosimy; raczy — racz; jegoż prosimy — czego (o co) prosimy; przebyt — przebywanie.
[8] w wiecu — w radzie; domieściż — doprowadźże.
[9] berdysz — siekiera z hakiem, na krótkiej rękojeści.
[10] drzewa — kopie.
[11] witeź — rycerz.
[12] nowak — nowicjusz, który jest pierwszy raz w bitwie.
[13] oksza — siekiera.
[14] krze (od kierz) — krzaki.
[15] *Christ ist erstanden!* — Chrystus zmartwychwstał!
[16] skrzęt — zamęt, tumult.
[17] włodycy — warstwa pośrednia między szlachtą a mieszczaninem i chłopem (w XV w.).
[18] rohatyna — szeroka dzida.
[19] w obieży — w niebezpieczeństwie.
[20] Długosz pisze, że Dypolda zabili pachołkowie królewscy.
[21] jaka (niem. *Jacke*) — kaftan, okrycie.
[22] mizerykordia — krótki mieczyk, którym dobijano rannych.

WYKAZ TREŚCI